Świat Kobiecy

ROK X 15 WRZEŚNIA 1930 R. N-R 18



CENA ZŁ. 2·25

TWOJA PRZYSZŁOŚĆ!

GODNE UWAGI ZAOFIAROWANIE

PRZESYŁA WAM BEZPŁATNIE

Informacje o tem:

Czy przyszłość wasza będzie zasobna w bogactwa, dostatek, pełna szczęścia? Czy spełnią się wasze pragnienia i ambicje. Czy znajdziecie zadowolenie w małżeństwie, miłości? Jacy są wasi przyjaciele — wasi wrogowie? i o tylu jeszcze innych ważnych niezmiernie rzeczach, które Astrologja jedynie może wam odkryć.



1107

CO WAM ODSŁANIA ASTROLOGJA!!!

Jeśli powołacie się na to pismo, światowa sława KARMA z Paryża prześle wam bezpłatnie szkic Analizy astrologicznej o waszem życiu, wraz z bezpłatnemi Radami, które mogą mieć dla was wielkie znaczenie. Zechciejcie poprostu przesłać nazwisko, adres, datę urodzenia (wszystko to musi być bardzo czytelnie wypisane) do KARMA, folio 721 M. 8, Boulevard Ornano. Paris. Napiszcie natychmiast. Oczekuje was niespodzianka. Jeżeli macie ochotę, możecie dołączyć zł 2 w znaczkach pocztowych swego kraju na pokrycie kosztów poczty i korespondencji. Opłata na Francję zł 0·40. Numer kontrolny: 721 M.

Inserujcie w „ŚWIECIE KOBIECYM"

Gütermann

jedwab do szycia



1019

Modne towary bławatne dla Pań

SUKNA MĘSKIE — poleca firma

STACHIEWICZ i ABRYSOWSKI

we Lwowie, Rynek l. 32 1045

A. PREVENDAR

LWÓW, PL. BERNARDYŃSKI 5

SALON FRYZJERSKI DLA PAŃ

Ostatnia nowość „Fuva" aparat do trwałej ondulacji włosów z gwarancją sześciomiesięczną

Spalenie włosów lub oparzenie skóry głowy absolutnie wykluczone

Po ondulacji aparatem **„FUVA"** włosy nabierają jedwabistej miękkości i stają się puszyste

Piękna fryzura jest największą ozdobą kobiety

Farbowanie włosów na wszystkie kolory jest SPECJALNOŚCIĄ FIRNY

1083

„Un Air Embaumé"

RIGAUD PARFUMEUR

PARIS 16. Rue de la Paix



Poleca znane w całym kulturalnym świecie perfumy

UN AIR EMBAUMÉ - PAS PLUS CHIC MARY GARDEN - CAMIA - LE LILAS

Żądać wszędzie.

1032

Dr. Owiński

dentysta

Lwów, Halicka 21 — tel. 39-55

KSIĘGARNIA POLSKA

B. POŁONIECKIEGO

LWÓW, UL. AKADEMICKA L. 2 A

poleca ostatnie nowości:

HOCHE A. Niebezpieczny wiek mężczyzny. Lata przejściowe. . . . 4·— zł

GERLING R. Życie miłosne człowieka z uwzględnieniem wszystkich tajemnych chorób i ich zapobiegania. — Tłumaczył Dr A. Klęsk . . . . 7·— zł

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY
SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

1030 **Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09**
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85



„MONIUSZKO" LWÓW, ZIMOROWICZA 10 TEL. 35-54' 49-71

POLECA 1042

FORTEPIANY ▪ PIANINA ▪ HARMONIE

nowe i używane w różnych cenach i na dogodne spłaty.

Wyłączne zastępstwo światowej sławy fabryki SCHWEIGHOFERA znanej wiedeńskiej fabryki

Nowe znakomite PIANINA Zł 2.800. Długoletnia gwarancja fabryczna

Ładną dziewczynkę 6 mies.

o niebieskich oczach, oddam za swoją w bardzo dobre ręce

1118 *Zgłoszenia do:*

Administracji „Świata Kobiecego"

pod nr. 1118

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 18 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 WRZEŚNIA 1930 ROKU

JAN KASPROWICZ

W CZWARTĄ ROCZNICĘ ZGONU

Pierwszego sierpnia 1926 roku — u stóp Tatr — w Harendzie — zamknął oczy na sen wieczny genjalny poeta — Kasprowicz.

Minęły cztery lata. — Czas przynosi ukojenie — przynosi też i zapomnienie. — To drugie staje się z roku na rok widoczniejszym udziałem wielkiego twórcy „Hymnów”. A o Nim zapomnieć nam nie wolno!

— — — — — — — — — — — — —

Wyszedł z chłopskiej chaty — podobnie jak drugi wielki syn ziemi kujawskiej — Przybyszewski; wzniósł się na szczyty duchowej kultury, by stamtąd — z tych niedostępnych podniebnych szlaków — siać perły swej potężnej i natchnionej Poezji. Niósł świat odrębny, z którym początkowo nie umiano sobie poradzić — niósł świat chłopski. Zrzucano winę tego stanu rzeczy na Jego pochodzenie. — Fatalna omyłka! Był Królem Duchem, który sięgał od szczytów do otchłani, po wszystkie krańce duszy — nietylko człowieka — lecz i całej ludzkości. — Od pierwszych swoich utworów ukazywał nam naturę w takich barwach, jakich od trzech wieszczów nikt dojrzeć nie zdołał, przechodził przez głębokie z nią zespolenie i zrozumienie; śpiewał na jej cześć w coraz większem zachwyceniu, w coraz wybitniejszem z nią porozumieniu, aż doszedł do olbrzymiego — panteistycznego z nią związku. Wyczuł jej powagę, jej trwożną przyczajoną ciszę, jej tęsknotę i smutek, jej radości o świtaniu i zmysłową melancholję w purpurowej szacie zachodzącego słońca. Wykuwał miłość tej ziemi i ludu z twardej bryły swego serca. Ten stosunek do natury — do ludu, zadecydował o kierunku, w jakim później miał iść. Przez całą Jego twórczość przebiega echo tych pierwszych natchnień, echo walki ludu, odblask mieczy „Arymana i Ormuzda walczących o supremację nad światem” i znów lud i natura — ziemia — aż wreszcie szczyt — Wszechświat.

Gdy zasięgnął oddechu wszechświata, rozpętał się Jego genjusz, obejmując w huraganowym pochodzie wszystko — aż ku Bogu.

Wyszedł od chłopa — od niego doszedł do ludzkości — aby w ostatnich miesiącach życia swego, ledwie bijącem sercem do chłopa i przyrody powrócić. Tylko że zaczął na ugorach, równinach i błotniskach Mazowsza a kończył w nowej — umiłowanej — acz przybranej ojczyźnie — w Tatrach.

Po trudach — pasjach — walkach — obrachunkach Konradowych z Bogiem i szatanem — po zmaganiach — uporach — buntach — namiętnościach — po nabrzmiałych bólem wszechogarniającym, chorałach potężnego ducha — po tytanicznych zmaganiach się Dobra i Zła — po zwycięstwach i klęskach, poszarpanem sercem śpiewa w niezmąconej ciszy — dobroć i wyrozumiałość — łagodność i ukojenie. Po wielkim geście, po iście Wagnerowskich symfonjach Hymnów — ozwał się mową prostaczków — duchem ubogich. — Dziwne to przejście! — Obrazy pełne rozpętanych żywiołów, któremi Psyche ludzka była targaną, demonizmu pełne wizje, ekstatyczne porywy — ustępują — przed drobiazgami skromnemi, małemi i prawie naiwnemi. Wiele zburzywszy, a wiele — à rebours — wzniósłszy, osiadł u kresu swej ziemskiej wędrówki na Podhalu, by tam „kunsztowne malowanki na szkle wyczyniać” i godzinki u stóp Jezusicka — w przydrożnej kapliczce — na gęśli wyśpiewywać.

W najprostszych rytmach wyraża Kasprowicz głęboką mądrość poety, subtelną filozofję duszy swej, w której śmierć zrównoważył z życiem, każde drgnienie serca na wieczność rozciągnął, wszelkie okruchy zdarzeń szeroko rozprowadził.

Mowa Jego twarda a subtelna, surowa a sokami liryzmu przepojona, forma wspaniale prosta, a kryjąca za niepolerowaną ścianą zewnętrznej powłoki, ocean wzruszeń — ogrom serca.

— — — — — — — — — — — — —

Od pokory i kajania się przed Ukrzyżowanym, od potężnego — dymami kądzidlanemi owianego — chorału „Święty Boże — Święty Mocny”, dochodził do rozpacznego zaprzeczenia Boga. Dusza Jego wzdrygała się przed zakłamaniem współczesnej kultury, przed kłamliwemi hasłami quasi-ideałów ludzkich.

Bolał — oburzał się — gromił — walczył — gardził — przeklinał — w smutku pogrążał się „Nad Przepaściami”, szedł do „Chrystusa”, aż wkońcu wznosił się dzięki głębokiej filozofji „Na wzgórze śmierci”. — Staczał się znów w zwątpieniu w otchłań nędzy — brudu i wszelakich upadków człowieczych, obarczał się wszelkiemi ułomnościami rodzaju ludzkiego, by wkońcu zmyć tę ropiejącą ranę duszy chyzopem świętej spowiedzi. Z labiryntu myśli, uczuć, zmagań — wyzwalał się przez „Miłość”, — przez gorejące uczucia „Św. Franciszka z Assyżu”. — Ale ukojenie znalazł dopiero w swoim nowym świecie.

Uciszone serce, znękane wielą burz, śpiewało serdeczne a tęskne piosenki. I jak zawsze, tak i wówczas u schyłku żywota przemawiał przez Niego, nie — jedynie człowiek, lecz ludzkość cała.

— — — — — — — — — — — — —

Poprzyjmy zatem zbożne dzieło prof. dr. Kołaczkowskiego trudzącego się wydaniem wszystkich dzieł Mistrza, wspomóżmy pracę prof. Stryjeńskiego — około ukończenia mauzoleum Wielkiego Poety — na Harendzie, zbudujmy pomnik — Genjuszowi!

ALFRED KONSTANTY WOYCICKI

WSPÓŁCZUCIE

JEDNEM z najtrudniejszych uczuć, takiem, którego się człowiek w mozole dorabia, jest współczucie.

Nie jest to bynajmniej paradoks.

Człowieka pierwotnego nie stać było wcale na współczucie. Dbał o siebie, rozpychał się łokciami wśród wrogości przyrody, w najlepszym zaś razie obijał się o jej obojętność. W tych zmaganiach tarczą i bronią był mu żelazny egoizm.

Potem, gdy opuścił jaskinię, gdy jął wyrabiać swój intelekt i przy jego pomocy zaczynał ujarzmiać przyrodę, gdy rozpoczął czasy historyczne — wówczas nie rozpoczęło się jeszcze jego współczucie.

Szły okrutne czasy Assyrji i Babilonu, po których po dziś dzień sterczą pomniki hańby ludzkiej. Klinowe pismo opowiada ku wiecznej niesławie człowieka, ilu innych ludzi wyrżnął, ilu poodcinał uszy lub nosy, ilu żywcem wkopał w ziemię, ilu wyłupił oczy. Boleścią pokonanych, ich wyciem nieludzkiem, ich potwornem cierpieniem zwycięzca pasł oczy swe i uszy, na widok ich zagłady czuł swą wyższość biologiczną, upajał się jej pełnią — dla zmiażdżonych przez siebie miał tylko pogardę.

Grecja i Rzym wniosły w surowość tej barbarji subtelność kultury. Wniosły logikę prawa, formy polityczne, piękno poezji i sztuk plastycznych i — kontynuowały niewolnictwo. Wyjawiały się tu i ówdzie zalążki uwagi dla cudzego cierpienia — ale nie dla tej kategorji istot ludzkich, które dla innych uprzywilejowanych były bezbronną własnością.

Dopiero Chrystus wyrównał różnice między ludźmi, dopiero nauka ewangeliczna jęła głosić współczucie.

Ale zbyt trudna była to nauka, by mogła się przyjąć odrazu. Tak trudna, że nie przyjęła się nawet do dziś.

Zniknęło z biegiem wieków niewolnictwo, ale nie zniknął handel żywym towarem. W przerażającej większości urządzeń społecznych hipokryzyjny pozór urągał i urąga straszliwej istocie rzeczy. O równość i braterstwo walczono mordem i okrucieństwem. Rewolucje nurzały ręce w najohydniejszych, najwymyślniejszych torturach. Działający na oczach naszych komunizm zdobył w tym względzie palmę pierwszeństwa.

Czy to w tym celu, dla równości i braterstwa, staje się człowiek dla człowieka coraz bardziej wygłodniałym wilkiem?

Jak daleko odeszliśmy od okrucieństw Assyrji?

Zakwitały i zakwitają na ziemi dzieła miłosierdzia, plącze się w stosunkach ludzkich wątłe pasemko humanitaryzmu — ale do współczucia droga daleka. Dowodzi tego choćby znany aforyzm, że współczuć z bliźnim w nieszczęściu łatwiej, niż w pomyślności. Ostrzejsza forma tego zdania głosi, że łatwiej znieść cudzą niedolę, niż szczęście.

I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Nieszczęście czyjeś łatwo wyciska nam łzy z oczu, z rąk datek, czasem dosyć znaczny. Ale to nie jest współczucie — to litość. Litość bywa antytezą współczucia. I to nie paradoks. Człowiek dumny może pragnąć współczucia ze wszystkich sił — litości nienawidzi. Za litość mógłby zabić. Nie wiem, czy byłby niewdzięcznikiem.

Branie udziału w czyjemś nieszczęściu jest formą aplauzu. Najczęściej bezwiedną, czasem nawet świadomą. Aplauzu dla losu za to, że zdzielił kogo innego, nie nas. Że my jesteśmy zdrowi, cali, że mamy pozycję, majątek. Bo naprawdę ważni jesteśmy tylko my. Co najwyżej jeszcze, choć już w mniejszym stopniu, nasi przyjaciele. Inni istnieją jakoś tam. Wiadomość o ich powodzeniu przyjmujemy ze zdziwieniem (oni? dlaczego? fortuna jest doprawdy — kapryśna...), z chłodną rezerwą (no cóż, trudno — nie należy im się [należy się zawsze po sprawiedliwości nam!] — ostatecznie, trafiło się ślepej kurce...), zazwyczaj z wyraźną furją. Spokój nasz na dłużej jest poważnie zakłócony. Gdy ktoś wygra na loterji główny los, zachodzimy w głowę: „Poco mu? On nawet nie potrafi użyć tych pieniędzy!" Gdy ktoś zrobi piękną podróż, dla nas niedostępną, śmiejemy się: „Cóż mu z tego? On nawet nie odniesie stąd żadnej korzyści!" Gdy dostanie dobrą, wybitną posadę: „Nawet nie dorósł do niej!" Gdy się ożeni po sercu, a w dodatku nie ubogo: „Wziął ją dla pieniędzy. Niedługo będzie trwała ta idylla!" Gdy napisze dobry utwór i zyska rozgłos: „Nie jest to znowu takie znakomite. Miał szczęście, że trafił na wydawcę!" Zawsze w wszechwiedzącej bystrości mamy coś do zauważenia. Albo zbywamy rzecz lakonicznie: „A, niech tam! Bóg z nim!" Albo: „Jechał go sęk! Co mię to obchodzi!" Ale gdy umrze, lejemy łzy krokodyle: „Biedny! jakże mi go żal!" Albo pytamy troskliwie: „Co słychać w domu? Zdrowi wszyscy?" — w nadziei, że może usłyszymy coś, co będzie potrzebowało naszego „współczucia". (Znam kogoś, kto na pytanie: co słychać? odpowiada stale: „Chwała Bogu nic". Inny ujmujące to pytanie stale ignoruje.)

Parszywe jest ludzkie współczucie, jak parszywa jest walka o byt.

I takie będzie tak długo, jak długo kilka psów będzie się gryzło o jeden ochłap.

A nauka ewangeliczna? A błękitne słowa o miłości bliźniego?

Czy może nadejść taki czas, by radość człowieka radowała serce bliźniego jego, by ustały grabieże i mordy, by skończyły się wojny — bez tasiemcowych obrad Lig Narodów i trybunałów w Hadze, bez międzynarodowych związków kulturalnych, pomocnych sprawie pokoju jak umarłemu kadzidło — a tylko przez prostą ludzką odrazę do nieludzkich środków? Przez rozumne poczucie, że wojna chemiczna nie jest ani o jotę kulturalniejsza od wojny maczugą, nabijaną krzemieniem.

Gdy człowiek człowiekowi będzie bratem (nie bratobójcą), gdy człowiek będzie umiał współczuć z człowiekiem — a nie jak dotąd dybać tylko na jego stan posiadania i smucić się jego powodzeniem — wtedy dopiero zejdzie Królestwo Boże na ziemię. LYNX

ICH DWOJE

MARJA SKŁODOWSKA-CURIE O LEGENDZIE SWEGO ŻYCIA

W ROKU UBIEGŁYM kobiety amerykańskie ogłosiły ankietę na temat: „Która z kobiet na świecie zasługuje na miano najsławniejszej?” Zwarta współpraca wszystkich organizacyj kobiecych sprawiła, że ankieta objęła całe Stany Zjednoczone. I oto wynik jej, niepraktykowanie jednomyślny, wysunął na zaszczytne stanowisko „kobiety najsławniejszej” naszą rodaczkę, p. Marję Skłodowską-Curie.

I trudno o wybór sprawiedliwszy, gdyż pracy i ofiarności tej wielkiej fizyko-chemiczki dla zdobyczy naukowych przyświecał stale jedyny cel, wyciągnięcia ze swych badań największych korzyści dla szczęścia ludzkości.

Sądzę, iż będzie rzeczą niesłychanie ciekawą przypatrzeć się w jakich obrazach, ta niepospolita kobieta, wskrzesza we wspomnieniach drogę swego życia i współpracy z mężem swym, wielkim uczonym Piotrem Curie.

Na wstępie swych wspomnień o Piotrze zaznacza, że nie bez wahania podjęła napisanie jego biografji, pragnąc to zadanie trudne i odpowiedzialne powierzyć komukolwiek z jego bliskich krewnych lub przyjaciół z lat dziecinnych.

Po przeczytaniu jednak tych luźnych kartek z pamiętnika jestem pod tak silnem ich wrażeniem, że nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek inny mógł z większem odczuciem, a zarazem z większą prostotą nakreślić sylwetkę Piotra Curie, jako uczonego i jako człowieka.

Marja Skłodowska po raz pierwszy spotkała Piotra Curie wiosną 1894 r. w Paryżu. Od trzech lat była studentką Sorbony i właśnie zdała licencjat z fizyki i przygotowywała się do licencjatu matematycznego. Równocześnie zaczynała pracować w laboratorjum prof. Lippmanna, którego badanie zjawisk elektrycznych doprowadziło do ustalenia ogólnego prawa o zachowaniu elektryczności. Jeden ze znajomych fizyków Marji, Polak, prof. Józef Kowalski z Fryburga, wysoko ceniący Piotra Curie jako zapowiadającą się już wtedy siłę naukową, zaprosił oboje, aby spędzili wieczór z nim i jego żoną. Tu się poznali. Rozmowa o sprawach naukowych, o których młoda studentka rada była usłyszeć zdanie uczonego, szybko nabrała charakteru przyjacielskiej pogawędki.



Postać Marji Skłodowskiej-Curie umieszczona na frontonie gmachu Instytutu Chemicznego w Canton przy Uniwersytecie św. Wawrzyńca. Instytut ten nosi imię wielkiej Uczonej i został zainaugurowany przez nią z końcem roku 1929 podczas jej pobytu w Stanach Zjednocz.

Pokrewność sposobów myślenia dwojga ludzi, ich zapatrywań na kwestje społeczne i ogólno-ludzkie, mimo różnicy narodowości, była zadziwiająca. Wywołało ją zapewne w dużej mierze podobieństwo atmosfery moralnej, w której każde z nich wyrosło, we własnej rodzinie.

Marja Skłodowska urodziła się w Warszawie w r. 1867. Była najmłodszą z pięciorga dzieci Bronisławy z Boguskich i Władysława Skłodowskich.

Matka, kobieta o dużem wykształceniu, była przełożoną najlepszej wówczas pensji w Warszawie; ojciec, profesor gimnazjalny, wykładał matematykę i fizykę. Matkę straciła Marja w 9-tym roku życia, to też na umysłowość młodej dziewczyny wpływ decydujący wywarł ojciec, który pierwszy otworzył przed nią świat wiedzy, tak bogaty, porywający. Gimnazjum ukończyła mając lat 15-cie, ze złotym medalem. Marzeniem dziewczęcia był wyjazd za granicę na poważne studja uniwersyteckie. Brak środków materjalnych odsunął na lat kilka zrealizowanie tych projektów.

Młody umysł pociągały nauki ścisłe. W matematyce pomagał jej ojciec, przygotowanie z dziedziny fizyki zdobyła pracując przez rok w laboratorjum fizycznem Muzeum Przemysłu pod kierunkiem I. Boguskiego.

Kilka lat spędziła Marja na dorywczej nauce, pracując już od 16-tego roku życia, jako nauczycielka.

Nareszcie na jesieni 1891 r. nastąpił upragniony wyjazd. Marja Skłodowska zapisała się na wydział fizyczno-chemiczny w Sorbonie.

Rozpoczęła się „epoka heroiczna” w życiu młodej dziewczyny, jak mówiono żartobliwie w rodzinie. Środki materjalne były nader skromne. Studentce wystarczało zaledwie na pokoik na 6-tem piętrze, a wszelkie troski gospodarskie trzeba było załatwiać samej.

Studja jej dobiegały końca, gdy poznała Piotra.

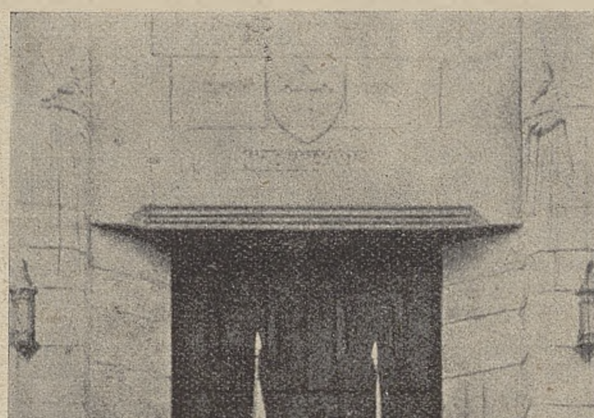
Człowiek ten, jak sam pisał w urywkach swych pamiętników, ukochał od lat młodzieńczych Naukę jakąś miłością mistyczną. Wierzył, iż przyniesie ona dobro ludzkości. Nie żonaty mimo swych lat 36, wątpił, aby mógł spotkać kobietę, którąby — w imię praw życia — nie stała się niebezpieczną rywalką Nauki.

Spotkanie Marji zachwiało poważnie jego wątpliwości. Odtąd widywali się często w Towarzystwie Fizycznem i laboratorjum. Wspólna praca i wspólne zainteresowania zbliżają. Piotr, okazując prostą i szczerą sympatję dla pracowitego życia młodej studentki, mówił często o swem marzeniu — o życiu poświęconem całkowicie Wiedzy — i wreszcie zapytał ją, czy nie zechciałaby z nim tego życia podzielić. Decyzja w tym wypadku była dla Marji niełatwa. Wymagała przedewszystkiem porzucenia kraju, rodziny i wyrzeczenia się wszelkiej pracy społecznej, której konieczność sercem szczerej patrjotki wyczuwała głęboko.

Tak stały sprawy, gdy na początku wakacyj 1894 r. opuszczała młoda absolwentka Paryż, aby wrócić do Polski.

Korespondencja, prowadzona przez czas tej rozłąki, zacieśniła jeszcze więcej węzły przyjaźni między młodymi uczonymi. A oto niektóre wyjątki z listów Piotra, który z serdeczną nieśmiałością starał się nakłonić Marję do powrotu do Paryża.

„Przyrzekliśmy sobie (nieprawdaż?) — jedno drugiemu — przynajmniej wielką przyjaźń. Oby Pani nie zmieniła przekonania! Bo niema trwałych obietnic — są to sprawy, których nakazać nie można. Byłoby to jednak tak pięknie — że aż nie śmiem w to wierzyć, — gdybyśmy spędzili życie jedno obok drugiego, zapatrzeni oboje w nasze marzenia, ...w Pani marzenia narodowe! W nasze marzenia społeczne i nasze marzenia naukowe! Zdaje mi się, że tylko te ostatnie są słuszne”... Gorąco radzę Pani powrócić w październiku do Paryża. Ale nie egoizm przyjaciela przeze mnie przemawia. Zdaje mi się tylko, że tu będzie Pani lepiej pracować — i że Jej praca będzie trwalsza i pożyteczniejsza.”



Marja Skłodowska Curie odczytuje inauguracyjne przemówienie na otwarciu Instytutu chemicznego Jej imienia przy Uniwersytecie św. Wawrzyńca w Canton w Stanach Zjednoczonych jesienią 1929 roku.

Nie mylił się Piotr Curie w swych sądach.

Mimo najszczerszych usiłowań Marja Skłodowska z ukończonemi studjami nie znalazła w kraju możności dalszej pracy naukowej. Bramy uniwersytetów krajowych stały przed nią zamknięte. Asystentura przy katedrze fizyki na wszechnicy krakowskiej, mimo osobistej przychylności prof. Witkowskiego, okazała się niemożliwą do osiągnięcia.

W ówczesnej Polsce nie było miejsca dla pracy naukowej kobiet.

Po wakacjach wróciła Marja do Paryża, gdzie oboje z Piotrem zrozumieli, że „żadne z nich nie może znaleźć lepszego towarzysza życia”.

Ślub ich odbył się dnia 25 lipca 1895 r., o którym prof. chemji fizycznej w Sorbonie J. Perrin mówi „Związek Piotra Curie i Marji Skłodowskiej wydaje się niemal wytworem legendy, tak doskonały przedstawia typ tego, co jest marzeniem

o związku mężczyzny i kobiety, którzy są istotnie zdolni zjednoczyć wszystkie swoje zainteresowania i swoje wysiłki."

Rozpoczyna się teraz ich życie wspólne, o którem wspomnienia poprzedza jeszcze Marja sylwetką Piotra z lat jego dzieciństwa i młodości, naszkicowaną z taką plastyką, na jaką tylko gorąco czujące serce zdobyć się potrafi.

Piotr Curie, urodzony 15 maja 1859 r., był drugim zrzędu synem doktora Eugenjusza Curie i Klary z domu Depouilly.

Dzieciństwo Piotra upłynęło wyłącznie w rodzinie, w której życiu skromnem i niepozbawionem kłopotów panowała jednak stałe atmosfera pogody i przywiązania.

Rodzaj umysłu Piotra nie pozwalał mu na przyswajanie sobie z łatwością programu szkolnego. Skłonny do marzeń, nie mógł poddać się jednostajności wysiłku intelektualnego, jaki narzuca szkoła. Kształcił się w domu, studjując i obserwując zbliska przyrodę. Za to swobodne wychowanie zachował na zawsze wdzięczność dla rodziców.

Mimo tej swobody w pobieraniu nauk, dzięki wielkim zdolnościom matematycznym i fizycznym, Piotr Curie, mając lat 16-cie, zdał egzamin dojrzałości *„bacealauréat ès sciences"*.

Przebył najtrudniejszy etap. Pozostawało mu tylko zdobywanie wiedzy, przez osobisty i samodzielny wysiłek, w dziale nauki przez siebie obranym.

Zgłębianie i pojmowanie zjawisk, aby następnie stworzyć z nich odpowiednią teorję, było dla jego umysłu konieczną potrzebą.

Pierwszą pracą Piotra Curie było określenie długości fal cieplnych przy pomocy stosu termoelektrycznego i siatki metalowej. Następnie rozpoczął pracę z zakresu krystalografji, wspólnie z bratem swym Jakóbem. Badania młodych fizyków odkryły nowe zjawisko piezoelektryczności, które polega na polaryzacji elektrycznej, wywołanej ściskaniem i rozszerzaniem się kryształów pozbawionych środka symetrji. Za pracę z zakresu krystalografji przyznano mu w 1895 r. nagrodę Plante'a.

W szkole fizycznej miasta Paryża, gdzie Piotr pracował 22 lata, najpierw jako szef robót laboratoryjnych, potem jako profesor, badania jegoześrodkowały się koło zagadnień symetrji i magnetyzmu.

W tym czasie uwagę Marji Skłodowskiej-Curie pociągnęło zaobserwowane zjawisko przez Henryka Becquerela w 1896 r. promieniotwórczości czyli wytwarzania się samorzutnie w solach uranu promieni specjalnego rodzaju. Doświadczenia jej wykazały, że promieniowanie związków uranu może być dokładnie mierzone w określonych warunkach i że ono jest własnością atomową pierwiastku uranu. Te same właściwości objawiały i związki toru.

Trzeba było znaleźć termin określający nową własność materji. Marja Skłodowska-Curie zaproponowała promieniotwórczość, która została ogólnie przyjęta.

Dalsze badania wykazały, że siła promieniotwórcza uranu i toru musi polegać na jakimś nowym pierwiastku chemicznym w nich zawartym. Jak najszybsze rozwiązanie tej hipotezy tak zaciekawiło Piotra, że przerwał on swoją pracę w kryształach, a rozpoczął doświadczenia wraz z żoną nową metodą analizy chemicznej. Materjałem doświadczalnym była blenda cynkowa, w której odkryto istnienie dwóch pierwiastków promieniotwórczych polonu i radu. Istnienie polonu ogłosili Marja i Piotr Curie w lipcu 1898 r., radu w grudniu tegoż roku.

Trudno sobie wyobrazić, iż ci wielcy ludzie czynili swe odkrycia epokowe w jak najgorszych warunkach, w szopie z desek, o cementowej podłodze i oszklonym dachu, przez który miejscami przeciekał deszcz. Przez całe życie walczyli nietylko z kłopotami materjalnemi, ale nadewszystko o środki do pracy.

W 1902 r. Marji Skłodowskiej-Curie udaje się otrzymać decygram czystego chlorku radu, który daje widmo nowego pierwiastka i określa jego ciężar atomowy. W ten sposób chemiczna odrębność radu zostaje całkowicie stwierdzona i istnienie pierwiastków promieniotwórczych — niezbicie dowiedzione. Jeszcze bardziej uderzającem było odkrycie produkowanego przez rad ciepła oraz stwierdzenie jego własności leczniczych. Badania te dają jeden dowód więcej ofiarności Piotra Curie, który pozwala naświetlać sobie ramię przez przeciąg szeregu tygodni. Rezultatem tych eksperymentów jest niewielka lecz uporczywa ranka, którą lekarzom, przyjaciołom uczonego, po sześciomiesięcznej kuracji udaje się nareszcie zabliźnić. — Odnalezienie radu stawia małżonków Curie u szczytu sławy. Otrzymują oboje nagrodę Nobla, a prócz szeregu zaszczytnych odznaczeń w 1904 r. ofiarowują jemu katedrę fizyki w Sorbonie, jej — kierownictwo pracowni przy tej katedrze. Po latach mozolnych wysiłków, w momencie osiągnięcia szczytu swych marzeń, własnego laboratorjum, Piotr Curie dostaje się w drodze powrotnej do domu pod kołą wozu ciężarowego. Uderzenie w głowę miażdży mu czaszkę. Śmierć następuje natychmiast. Marja Skłodowska-Curie, pisząc o tej strasznej scenie, dodaje: „W gabinecie, do którego nie miał więcej wrócić, kwiaty, które przyniósł z ostatniej wycieczki na wieś, a kochał tak całe życie, były jeszcze zupełnie świeże". Nieszczęśliwa czerpie siły w pamięci męża. Po nim obejmuje katedrę fizyki w Sorbonie. Prace naukowe przynoszą jej znowu szereg odznaczeń. W 1913 r. rząd francuski wznosi dla niej Instytut Radowy i Marja Skłodowska-Curie dostaje nareszcie własną pracownię, na którą mąż jej czekał napróżno całe życie. Dziś starsza jej córka Irena, dr nauk fizyko-chemicznych, jest preparatorem w Instytucie Radowym, młodsza Ewa — obiecującą pianistką. A Marja Skłodowska Curie wypełnia ściśle ostatnią wolę swego umiłowanego męża, który powtarzał jakby w przeczuciu grożącego nieszczęścia: „Cokolwiek bądźby przyszło, choćby się miało pozostać jak ciało bez duszy, należałoby pracować — pomimo wszystko".

MARJA ANKIEWICZOWA

ROZMOWA ZE SŁUCHACZAMI RADJA

Mikrofon to wy, Nieznajomi,
którzy milczycie, słuchając.....
(Pierwszy raz w życiu nikt mi nie przerywa...)
Nie widzę
waszych szlachetnych fizjonomij —
i może właśnie dlatego
czuję się tak szczęśliwa.
Bo wyobrażam sobie same piękne twarze,
oczy zasłuchane —
same piękne ręce, twarz podpierające — — —
i nie wiem jak wam to wyrazić
żeście mi bliscy jak kochanek.

Kilku z was tylko,
przyjaciół najszczerszych
nie odłożyło ze złością słuchawek.
Reszta słuchaczy, nie chce za nic wierszy,
dziękuje za taką zabawę.

Wolą jazzband, hawajskie gitary,
xylofon i ukeleli..
Ja też wolę. Przyznaję im słuszność.
Wiem że człowiek samem słowem nie żyje —
lecz bez słowa — jakże jest duszno,
i jak się życiem podzielić?

Muzyka ma więcej gestu
i głębi —
lecz życie jest samo muzyką,
— potrzeba nam tekstu.

Gdy wszechświat gwiezdnym snopem
na pierś nam upadnie,
w szczęśliwem lub złem znaczeniu,
— gdy nas do głębi wzruszy —
chwalić, miłość wyrażać,
przeklinać szkaradnie,
każdy z nas musi... — — —

Stoję w waszym kręgu
jak magik wśród larw — — —
usta mam coraz bledsze —
i oddycham tem niezwykłem,
tem ciężkiem od uwagi powietrzem
w pustce pełnej
oczu i barw...

Jestem z wami jak serce w sercu —
przepływam rodzinnym krajem
wierzę w waszą i w swoją duszę,
skoro z wami, Niewidzialni,
przestaję......
Rozmowa z oddalonym kochankiem
jest całkiem podobna — —
choć daleki lecz czyta w myślach naszych do dna
i to bez detektora.

Czuję w sobie siłę magiczną.
Powiem zaklęcie
i oto na mikrofon spadną ciemne róże
rzucone mi przez was w tym słodkim momencie.
Pragnę was zaczarować — —
boję się was znudzić — — — —
Pierwszy raz czuję — bez blagi —
że kocham ludzi....

MARJA PAWLIKOWSKA

KING OF LIFE*

WYDAJE mi się, jakgdybym oto opuścił mroczniejącą salę Saint-James Theatre — jeszcze skrzy w oczach wytworny, kunsztowny przepych najprzedniejszych ro-omów Anglji i zadumą ponurą zawleka się tępy, cuchnący świat w Reading Geol, coraz i coraz wsiąkający w zgniły, jesienny dzień, dzień przestąpienia progów śmierci przez zewłok króla życia — Oskara Fingal O'Flaherty Wills Wilde'a.

Przewija się przez tę książkę czarującą słoneczna smuga, choć najtragiczniej pod koniec załamana, tem jednak słoneczniejsza i dziwniejsza, że za tło służyły jej czarne, ponure kontury płaskiej samoobłudy, zapleśniałego w martwem filisterstwie purytanizmu Anglji u schyłku XIX wieku — przewija się niepokojący żywot człowieka, co wystrzeliwszy niespodzianą racą, pół życia poświęcił na to aby skupić na sobie oczy przedewszystkiem otępiałej ojczyzny, oczy świata, aby być „very interesting", żywot najwykwintniejszego causeur'a i dandy epoki nowożytnej, złotoustego rozdawcę najbardziej skrzących klejnotów języka i zielonego apostoła nowoheleńskiej estetyki, któremu w życia połowie wtórej znaczonem było zgasnąć równie szybko i niespodzianie, jak nagle wybłysnął.



JAN PARANDOWSKI

Akt potwornego potępienia pisarza, akt mordu z premedytacją dokonany wyrokiem sądu angielskiego na duszy człowieka, który jedyny — patrząc w oczy odeszłym wiekom — mógł o sobie powiedzieć: „zrobiłem ze sztuki filozofję i z filozofji sztukę. Odmieniłem dusze ludzkie i barwy rzeczy, wszystko co czyniłem albo mówiłem zdumiewało ludzi. Wziąłem dramat, formę najbardziej objektywną, jaką zna sztuka, i uczyniłem zeń środek równie osobisty, jak poemat liryczny lub sonet, i jednocześnie rozszerzyłem jego zakres i wzbogaciłem go w sposób nieznany. Dramat, powieść poemat prozą, wiersz, dialog subtelny lub fantastyczny, wszystko czego się tknąłem ozdabiałem nowem pięknem; samej prawdzie oddałem nietylko to co prawdziwe ale i to co fałszywe jako należną prowizję, i dowiodłem, że fałsz i prawda są jedynie formami bytu intelektualnego. Sztukę traktowałem jako najwyższą rzeczywistość, a życie jako prosty objaw złudzenia. Rozbudziłem wyobraźnię mego wieku, która tworzyła dookoła mnie mit i legndę" — ów najstraszniejszy akt wygłupiałego filisterstwa, które omal, że nie usymbolizowało się w osobie markiza Queensberry, rzucił wieczysty cień, niezmazalną plamę na sumienie Anglji XIX wieku.

Ująć w skończone formy koncepcji literackiej, w karby niezłomnych praw psychiki ludzkiej żywą zjawę najdziwniejszego z ludzi, umieć rozplątać dyskretnie, a zarazem bez fałszowania prawdy niezwykle skomplikowany węzeł dwu tragedyj — jednej — tragedji serca w stosunku do skrajnie egoistycznego, zwyrodniałego lorda Alfreda Douglasa i drugiej — tragedji najokropniejszego upadku z kryształowego szczytu marzeń, ambicyj i rzeczywistego powodzenia w ruinę, w pospolite błoto życia, — i nie odjąć szkicowanemu obrazowi ani jednej barwy, ani jednego błysku, czy nawet półtonu było sztuką zaiste niepośledną — a sztuki tej, powiedzmy szczerze — w całej pełni dokazał Jan Parandowski.

Żaden może z pisarzy polskich nie był bardziej predestynowany do roli subtelnego biografisty „Antinousa w aksamitnym berecie" jak właśnie Parandowski. Sam — jedyny w Polsce — naprawdę, nie po kabotyńsku rozmiłowany w heleńskiej kulturze i świecie, sam, jedyny między polskimi helenistami — artysta, zatem najbliższy atmosferze duchowej Wilde'a — najlepiej wniknąć mógł w najskrytsze tajniki owej zgoła niezwyczajnej duszy, ujawnić najdrobniejsze sprężynki, które jej mechanizmem poruszały.

Utarło się w polskiej opinji literackiej zdanie, obdarzające Parandowskiego mianem nieporównanego stylisty.

Jeśli nie czem innem, to właśnie „Królem życia" dowiódł Parandowski, że zdanie to — wyjątkowo w dziejach utartych opinij — nie jest czczym frazesem, ale prawdą istotną, i podkreślił tem samem jeszcze jedno swe prawo, ukazujące jego właśnie i jedynie godnym powziętej roli.

Książki napisanej tak piękną polszczyzną, takiem bogactwem stylu urozmaiconej — nie spotkałem już dawno w naszej literaturze.

Artyzm niezwykły języka i stylu nie ustępuje w niczem artyzmowi kompozycji.

Niema tu ani jednej postaci, któraby zasłużyć mogła na miano papierowej; wszystkie — choćby przesuwające się jeno, narówni z drobniejszemi akcesorjami na tle tak bogatem i rozmaitem — choćby tę krótką chwilę żyją, naświetlone plastycznie i bystrze.

Trudno mi tu wymieniać, trudno opisywać ową galerję ciekawą, począwszy od romantycznej, egzaltowanej lady Wilde a skończywszy choćby na świetnie pochwyconych sylwetkach sędziów czy adwokatów z pamiętnej rozprawy, lub czcigodnym poczciwcu, hotelarzu z uliczki des Beaux Arts, Dupoirier'ze, składającym na trumnie Wilde'a skromny wieniec z napisem „A mon locataire".

Godzi się też podkreślić ciekawe spostrzeżenie autora, o możliwości wzorowania postaci sienkiewiczowskiego Petronjusza na Wildzie, którego proces, a zatem rozgłos największy przypadł właśnie na czasy powstawania „Quo vadis".

Nie zwróciła na to dotychczas uwagi polska krytyka literacka.

„Król życia" Jana Parandowskiego stanowi jedną z najświetniejszych pozycyj w szeregu nietylko polskich — bo ich niewiele — ale europejskich „romansów biograficznych".

Czytałem go z takim samym zapałem i miłością — z jakiemi Pierre Luys wgłębiał się w karty rękopisu wilde'owskiej „Salome".

WŁODZIMIERZ LEWIK

* Jan Parandowski: „Król życia". Lwów — H. Altenberg — 1930.

O CUDOWNEJ KSIĄŻCE ORKANA

BYŁO to w Krakowie, w czasach gimnazjalnego mundurka.

Nam, uczniakom, przykazała c. k. władza żebrać po domach bliźnich o klamki, samowary i moździerze „dla dobra ojczyzny”, podczas gdy sami Austrjacy bez ceremonji zdzierali z kościołów miedziane dachy i dzwony, aby je następnie przetopić na wojenne materjały. Na froncie galicyjskim zawsze działo się po staremu, — „bez zmian”, ale wszystkie wróble ćwierkały do ucha śpiżowego Adama, stojącego przed Sukiennicami na rynku, że to tylko takie austrjackie gadanie...

W tych to więc czasach dogorywania austrjackich zapędów strategicznych, jeździliśmy urzędowo na wozach wojskowych za żebraniną iście komiczną, bo chyba tylko dlatego, aby doradzać czcigodnym mieszkańcom miasta, jak najlepiej ukryć miedziane i mosiężne przedmioty przed pożądliwem okiem c. k. patrjotów, którzy po naszych bezskutecznych prośbach stosowali przymusowe rewizje i rekwizycje. Wtedy to właśnie, — rzecz niepojęta i gorsząca, — najprzyjemniejsze chwile lenistwa spędzałem na pustym wozie, służącym nibyto za ładownie nigdy nie zebranych materjałów, w tych bowiem osobliwych warunkach, podczas dyżurów, przyszło mi po raz pierwszy przeczytać orkanowe „Drzewiej”.

Wlókł się wóz tedy po przeróżnych ulicach, jakby miał naprawdę rzemienny dyszel, a konie służyły w domu pogrzebowym lub w ciężkiej artylerji, koledzy uganiali po kamienicach, a ja, ciągle z nosem w książce Orkana, uczyłem się — języka polskiego, poznawałem styl literacki, składnię i gramatykę, lepiej niżby mi to umiał wbić w głowę z dwójami mój poczciwy belfer. Wstyd mi było pozatem szperać po śpiżarni i w kuchniach, obrzydzenie mnie brało na widok łyżek aluminjowych, rondli i tłuczków; wolałem uciec od rzeczywistości w przeszłość inkszych utrapień, do tej ziemi orkanowych mocarzy, którzy nie wiedzieli nic o światowej wojnie, wywodzącej się z kuchni, o preparowaniu materjałów do pocisków z garnków i bogobojnego dobra ludzkiego, o froncie wiecznie głodnym, karmiącym się w tych czasach boleścią i mięsem ludzkiem...

Uczyć się wtedy nie chciało. Były rzeczy ważniejsze, — bracia w Legjonach, chleb na kartki, spacery po mleko, hen za miasto, — bieda, niepewność jutra. Kiedy zdzierano dach z kościoła św. Anny, z rozpaczy chodziłem „za labę” i bezczelnie przesiadywałem na przyległych plantach na ławce, z której mógł mnie bylejaki przechodzący profesor poderwać za uszy. Było mi wszystko jedno, i tak zresztą byłem przestępcą, bo w klasie, na obrazie Franciszka Józefa, uczerniłem cesarzowi wąsy i brodę, atramentem. Zdzierali więc Austrjacy dach z kościoła św. Anny, a ja próbowałem o tem nie myśleć, chociaż zdawało mi się, że łupią ze mnie żywą skórę i moralnie mnie karają za mój karygodny występek wobec cesarskiego majestatu. I czytałem wtedy na ławce „Drzewiej” Orkana, słowo za słowem, zdanie za zdaniem, powoli, jak ten, co zdecydował się płynąć łódką pod prąd i ogłuchł na wołania z brzegu. Ogarnęła mój umysł ta niezwykła książka nierychło i nieśpiesznie, lecz z tokiem codziennych wypadków szarych, monotonnych, a tragicznie strasznych, w miarę przyboru wrażeń, przywiązała mnie do siebie jakiemiś nićmi buntu i zacietrzewienia tak, że stała się dla mnie w tych czasach przyjaciółką nieodstępną. Czytałem ją w „ogonkach” przed piekarniami, kiedy to trzeba było strudzoną kłopotami matkę zastąpić, czytałem ją w „budzie” pod ławką podczas lekcyj, które nikogo nic nie obchodziły, a czytałem dlatego, aby o wszystkiem innem zapomnieć. W ten to sposób nauczyłem się wiele ustępów z „Drzewiej” napamięć. Każde słowo w tej arcywspaniałej powieści-poemacie zdało się dla mnie być krzepkie jak dąb, sięgający korzeniami głęboko w soczystą ziemię i konarami wrosły w zachwycające niebo. Trudna to była książka, niezrozumiała odrazu, a jednak przykuwająca i jakże droga, gdy się z nią po trzeciem przeczytaniu — rozstałem.

Nakład „Drzewiej” Orkana jest dawno wyczerpany. Czyż nie czas na nowe wydanie? Gdy ukaże się nowy nakład „Drzewiej”, choćby jutro, zakupię dziesięć egzemplarzy tej książki na imieniny, wszystkim ciotkom w podarunku; dlaczegoż to mają pięć razy w kółko czytać „Dzikuskę”?

Chciałem tylko napisać w jaki sposób pokochałem Orkana, zanim go, jako człowieka, poznałem.

Było to dziesięć lat potem, po obronie Lwowa w 1918—20 roku, kiedy trzeba było wniknąć w życie prawdziwe, twardsze i znacznie trudniejsze od orkanowej książki i kiedy to ciężka, zmarznięta ziemia, w której kopałem pierwszy raz rów strzelecki w zimowy wieczór na Majerówce, zagrzebała na kilka lat wszelkie moje marzenia o nierzeczywistości i literaturze. Wyobrażałem sobie Orkana jako postać posągowego wzrostu, barczystą, wyniosłą, okazałą, godną kowala lub drwala, — kowalem był bowiem polskiej mowy, bliźniakiem Kochanowskiego, drwalem słów puszczańskich.

To też zdziwienie wzbudził we mnie niepomierne, gdy ujrzałem jego czarną, niepozorną sylwetkę za szeroką katedrą w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w marcu 1927 roku, podczas składania mu hołdu za 25-lecie pracy literackiej. A jednak przemówił do mnie wonczas, jako człowiek, nie mniej głęboko, jak przed laty, gdym widział w nim tylko potężnego autora-przyjaciela, nieznanego mi powiernika i nauczyciela. Pamiętam, jak to tamując wzruszenie w głosie, spojrzał po życzliwych twarzach i zatrzymał wzrok na matce.

— Nie dla mnie, panowie, te słowa wasze — powiedział. — Wszystko co posiadłem w życiu, zawdzięczam tylko mojej matce. Na podgórzu podkarpackiem, w Porębie wyrosła, i takim, jak mnie widzicie, wychowała dla tej ziemi. W maleńkości, kiedyś, brała mnie za rękę i opowiadała tak cudowne baśnie, że serce moje słyszało i czuło, jak wiatr śpiewa, jak to góry się mgławią i jako ziemią płynie w rzekach ludzka dola do wielkiego morza, w zaświaty. Nie dla mnie, panowie, te słowa wasze, lecz matce mojej za wszystko wdzięczność się należy, wasza i moja.

Zeszedł z katedry i ucałował spracowane ręce staruszki, gaździny w chuścinie wieśniaczej. Była to chwila przedziwnie uroczysta, gdy do rąk matki Orkana chyliły się potem siwe głowy profesorów, togi, żakiety, fraki. Patrzyły na to ze ścian auli patrjarchalne portrety Matejki i ciekawy tłum publiczności, zapełniający salę. Lecz chociaż w tej ważnej chwili dla Orkana wnikało społeczeństwo w piękno nastroju akademji, w głębię i szlachetność twórcy-człowieka, któż wiedział o prawdzie jego życia, komu przyszłoby do głowy, że aby zdobyć pieniądze na podróż do Krakowa, musiał on wtedy sprzedać krowę-żywicielkę. „Czcigodny jubilat”, „znakomity autor”, — znajdował się poprostu w nędzy.

Patrząc w jego postać nad podziw skromną, starałem się w niej zrozumieć potęgę duszy pisarza. Miał istotnie coś w wyglądzie, co upodobniało go do typu i charakteru jego twórczości. Był cały czarny, jak ptaszek boży, widziany w górze w sylwetce, a była w nim zarazem jakaś cichość pracowitej mrówki i skrzętność niestrudzonej pszczoły.

JANUSZ STĘPOWSKI

AURA WYLEŻYŃSKA

Z DUSZĄ TWOJĄ NA RAMIENIU...

LISTY Z HISZPANJI

1) z oryginałów wiernie przełożone

Hernani, 27 marca, 10 rano

¡Mi Amado! — Mój Ukochany!

„Irun", obwieszczono przed godziną stację graniczną. To Hiszpanja zawołała mnie Twoim kochanym głosem. Potem ktoś zaśpiewał: „Wsiadać!", jakby śpiewał hymn kościelny. Dzwonek odjazdu zabrzmiał trzykrotnie, niby na Sanctus.

Odrazu za Pirenejami zapaliło się słońce: żółte Wasze słońce. Które mi w Paryżu kiedyś, w szary dzień grudniowy, gorącem odmalowałeś słowem.

Troszczyłeś się, czy ojczyzna Twoja będzie mi się podobała. Źle ogoleni, rodacy Twoi — ubolewałeś, choć są grzeczni broniłeś. Dotąd wszyscy doskonale są ogoleni, a naprawdę bardzo grzeczni. Hidalgowie na każde spojrzenie moje chwytają walizki, jakby od czasów Don Quijota nic innego nie czynili.

Daję ten list do wrzucenia komuś, kto, widzę, rozumie całą jego doniosłość.

Nie bój się, Kochany, z kochaną duszą Twoją na ramieniu wszystko będzie mi piękne!

W wagonie restauracyjnym, 27 marca

Cher Ami, — Drogi Przyjacielu!

Jestem na śniadaniu. Piję czarną kawę z cukrem trzcinowym, zawiniętym w bibułkę.

Bardzo zapewne zdziwi Pana ten list, datowany z niespodziewanej drogi. Zamiast mnie, on Pana wita po półrocznej nieobecności Jego w Paryżu. Skąd ta nagła podróż? Zawsze pragnęłam poznać Hiszpanję, jak tylu ludzi. Każdy czuje, iż Hiszpanja to jest jedyny zupełnie odrębny kraj, coś zgoła różnego aniżeli cała Europa, aniżeli cały świat. Mało jest jednak odważnych, którzy naocznie decydują się o tem przekonać — boją się rozczarowania. Ale podróż, jak miłość, zawieść nigdy nie może. Tylko dać może inne wrażenia, inne uczucia, nie te, których się oczekiwało. Pan powinien się tu wybrać, drogi Jimie, jako Anglik nie boi się Pan przecież nic — prócz obawy. A dlaczego właśnie w tej chwili? Bo na Boulevard Madelaine co noc ogniste światła wołały: „Visitez l'Espagne"! Ogarnęła mnie pokusa tak silna, iż byłoby zbrodnią jej nie ulec. Na tymże Bulwarze kupiłam okrężny bilet zniżkowy z powodu Wielkanocy, wystawy Sewilskiej i Barcelońskiej. Zabawię tu kilka tygodni. Jadę: Burgos, Avila, Madryt — wszędzie proszę pisać *poste restante.* Dalsze wskazówki Pan otrzyma. Będzie chyba dość czasu, aby zbadać tajemnice Hiszpanji. Obiecuję pisać obszernie, opowiadać Panu moje wrażenia i obserwacje. Jak się to przyzwyczaiłam czynić przez dwa lata. Bo zdaje się, że już tak długo trwa nasza przyjaźń?

Wyjechałam do Hiszpanji, nic o niej nie wiedząc, prócz tego, czego się kiedyś, bardzo dawno, uczyłam, co mimowoli wfiltrowywało się w moją głowę, i co mi intuicja na podstawie znajomości z Hiszpanami podpowiedziała.

Żadnych przygotowań, wertowań historji sztuki i dzieł pomocniczych, wczytywania się w zdania cudze i kreślenia planów miast w pamięci. Kiedyś, też dawno to było, gdy jechałam do Włoch, zaraz pierwszego wieczoru chodziłam po Florencji jak po Krakowie. Miało to jednak tę ujemną stronę, że nieraz nie dojrzałam czegoś, co uderzyćby mnie mogło, gdybym nie szukała, zapowiedzianej w tem miejscu, Madonny del Sarto.

Teraz postanowiłam czytać w samej Hiszpanji, nie jak w przewodniku, ale jak w księdze życia i sztuki, kartki, gdy kaprys podyktuje odwracać i zatrzymywać, kwiatami strony zakładać, na dawnych wieków drukach nowe odcyfrować litery pisane różnemi charakterami, a nawet różnemi maszynami. Nie wszystko widzieć, ale to co zobaczę — przeżyć.

Bieg pociągu rozkołysał mnie do marzeń o nieznanym kraju. Gdy w Bayonne zawołano: „En voiture pour l'Espagne", nie było już żadnej wątpliwości, że jadę. Będzie to kosztowało bajońskie sumy — ale trudno...

Kiedy opuszczałam Paryż, ludzie zaledwie zaczynali mieć wiosenne ruchy i ulica dopiero zaczynała wołać głosem wiosny, choć to już koniec marca. Spóźniona w tym roku paryska wiosna. Ale w miarę jak obracały się koła ekspresu Paris-Irun, coraz kolorowiej stawało się na świecie. Na granicy świat cały się odmienił...

Morze wdarło się w ląd i zgodziło zastąpić tradycyjną rzekę — oddzielającą jeden naród od drugiego. Po tamtej stronie mostu, — bronią go wesoło żołnierze w mundurach feld-grau, — mieszkają ludzie, którzy innym mówią językiem, inaczej się śmieją, inne jedzą ciastka, innym tego samego krzyża żegnają się znakiem. Pewno dlatego kochają w odrębny sposób. Sprawę sztucznego często przedziału tutaj ułatwiają Pireneje. Dla mnie niema już, jak swego czasu dla Ludwika XIV, Pirenejów.!

Na granicy bardzo powierzchowne obejrzenie walizek i paszportu, ostemplowanie biletu i zabrał nas luks, który w Irunie czekał. Wagons-lits, pierwsza klasa i po macoszemu traktowany jeden wagon drugiej. Brudny, już od początku drogi, zato pełen rozkazów królewskich, Real Orden, zbiór ich od 1862 roku począwszy do naszych dni. Biurokracja francuska i jej wymowność niczem się być zdają wobec tych romansów, czarnemi znaczkami, na białych tablicach ogłoszeń, nakreślonych. Żadnych jednak ostrzeżeń przeciw bandoleros espanolos. Jak przed 50 laty, gdy uniemożliwiali oni podróż nawet koleją.

Długo przyglądałam się frankom zmienionym na pezety, rozpychającym torebkę talarom i prawdziwym srebrnikom z portretem Alfonsa XIII, jako dziecka, młodzieńca i w jego obecnym wieku. Naokoło królewskiej głowy napis: „Alfonso XIII por la Gracia de Dios". Są więc jeszcze panujący z łaski Boga, nie z cierpliwości ludu?

Jedziemy, jest pięknie jak we śnie. Wszystko w kwieciu. Drzewa migdałowe rzęsiście osypane. Łańcuch Kantabryjskich wzgórz porznięty śnieżnemi strugami, od wichrów je broni i burz. Tor kolejowy biegnie wzdłuż potoków, których wodospady bawią oczy przejeżdżających. Młoda zieloność użyczyła im swego koloru nadziei. Mijamy stację Hernani, bohater kastylski jeszcze tu żywy. A tam, w głębi wąwóz Ronsewalski, okryte sławą dzieje Cyda. Za Pirenejami zawsze bój był — i zwycięstwo.

Krajobraz nagle się zmienił — pejzaż staje się groźny, ponury, fantastyczny. Szedł tunel za tunelem. W dodatku deszcz perełkami posypał szyny. Pustkowie pokryte skałami: granit, granit, skamieniały popiół, albo świeżo rozdarte, krwawiące się jeszcze głazy. Czerwienią oblane też drogi. Ludzi nie widać, domy glinianego koloru, tulą się do siebie, łączą w jeden sznur ulicy.

Gdyby nie zapowiedź śniadania, zniknęłaby wszelka nadziei iskierka. Ale śniadanie nie zawiodło!

Tyle na dzieńdobry w Paryżu.

NIEWYDANY ROMANS

ZNANE są niemal na całym świecie żółte książki berlińskiej firmy Ullsteina, firmy, która należy do największych przedsiębiorstw wydawniczych w Europie. Jest to poprostu olbrzymia fabryka zadrukowanego papieru, przeznaczonego w przeważającej części dla zaspakajania najbardziej przeciętnych zapotrzebowań umysłowych. Firma Ullstein wydaje cały szereg pism codziennych, wydawnictw perjodycznych (między innemi „Uhu", „Die Dame", „Koralle" i t. d.), oraz olbrzymią falangę powieści. A oprócz tego finansuje najrozmaitsze publikacje sekretne, między innemi znaczną część emigracyjnej literatury rosyjskiej, oraz wydawnictwa żargonowe przeznaczone dla Ameryki Północnej.

Obrót, dochody i wpływy są naturalnie olbrzymie. W ciągu ostatnich lat despotycznym władcą tego olbrzymiego przedsiębiorstwa był dr Franciszek Ullstein, człowiek pełen energji i wigoru, jakkolwiek dawno już przekroczył sześćdziesiątkę. Nic więc dziwnego, że czterech jego młodszych braci i cała plejada siostrzeńców, którzy tymczasem zajmowali dość podrzędne posadki, wyczekiwali, z właściwą wszystkim następcom niecierpliwością, na abdykację dotychczasowego władcy.

Tymczasem stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. 65-letni Franciszek Ullstein poznał młodą, piękną i awanturniczą kobietę, która poczęła wywierać na niego wpływ bardzo poważny.

Dr Róża Graefenberg była z zawodu dziennikarką i przez pięć lat swojego pobytu w Paryżu posyłała korespondencje do ullsteinowskiej „Vossische Zeitung", której redaktorem był od lat dwudziestu wybitny polityk i publicysta niemiecki Georg Bernhard. Przy bliższych stosunkach z wielkim wydawcą pani Róża zaczęła objawiać wielką ambicję, a kiedy wreszcie została jego prawowitą małżonką, przeszła do zdecydowanej ofensywy. Zaczęła dążyć poprostu do utrwalenia swoich wpływów, wprowadzenia ludzi zaufanych i zagarnięcia całej władzy. Był to wyraźny zamach na ustalone w świecie kupieckim zasady dziedziczenia wszelkiego dorobku przez rodzinę, był to również zamach na utrwalone stanowiska ludzi, którym podczas pracy w domu ullsteinowskim włosy posiwiały. Wszyscy więc, którym ten zwrot nieoczekiwany grozić począł, zatrwożyli się wielce i stworzyli koalicję, której celem była walka z niebezpieczną kobietą.

Trudno sobie w sposób dokładny uprzytomnić zasadniczy charakter tego całego konfliktu.

Prasa niemiecka przeważnie milczała i nie dostarczała żadnych o tym zatargu informacyj. Dopiero w ostatnich czasach pojawiły się w niektórych tygodnikach wypowiedzi osób zainteresowanych.

Panią dr Różę Ullstein poznajemy w dwuch oświetleniach: zakochanego męża i nienawidzących przeciwników.

Dr Franciszek Ullstein widzi w niej urok i wartości młodości zdobywczej, która szuka miejsca dla siebie wbrew zmurszałym tradycjom i uświęconym regułom. Dochodzi on nawet do przekonania, że w domu ullsteinowskim potrzeba ideologji. Przedsiębiorstwo wydawnicze, oświadcza, nie może tak jak sklepik z mydłem albo restauracja przechodzić z ojca na syna. Jego wpływ bowiem na społeczeństwo jest zbyt poważny. Trzeba tutaj przestrzegać pewnej ciągłości ideowej, choćby wypadło dla tego celu wprowadzić ludzi nowych i pozornie obcych.

Ten pogląd nawróconego kupca da się odnieść z biedą zaledwie do „Vossische Zeitung", bo cała olbrzymia falanga innych wydawnictw ullsteinowskich jest zwykłym „geszeftem", któremu jakiekolwiek obciążenia ideowe tylko zaszkodzićby mogły.

Georg Bernhard, któremu ta walka przyniosła utratę posady i rozmaite inne niebezpieczeństwa, odtwarza zupełnie inaczej całą sytuację:

„Dr Franciszek Ullstein znajdował się pod najsilniejszym wpływem dra Róży Graefenberg, nim jeszcze pojął ją za żonę. Nie odważył się jednak powiedzieć o tem otwarcie swojemu staremu współpracownikowi, albowiem ta kobieta umiała w bardzo zręczny sposób pobudzać jego próżność. Wciągała go również w niebezpieczne konszachty polityczne, odsuwając zgóry porozumienie z dawnym powiernikiem. Jego zachowanie stawało się coraz bardziej chaotyczne, coraz bardziej odbiegające od ustalonej tradycji. Rzeczowej dyskusji na takie tematy unikał. Starał się natomiast ubocznemi drogami przemycać takie poglądy, które, jak to dobrze wiedział, nie mogły znaleźć aprobaty naczelnego redaktora. Po powrocie z podróży poślubnej nie było już na niego żadnego hamulca. Doszło do najpaskudniejszych zajść, w redakcji zaczęła się prawdziwa orgja. W początkach stycznia zażądał, aby wpływy jego żony na redakcję przybrały formę legalną. Nie mogłem się na to zgodzić. Albowiem wpływ tej kobiety nie objawił się ani razu w formie duchowej podniety, albo w jakiś rzeczowy sposób. Ona wysilała się tylko, aby dla swoich ulubieńców zdobywać posady, pochwały, reklamy i wszelkie tego rodzaju korzyści. W oczach dra Franciszka Ullsteina jest dr Róża Ullstein niezwykłą osobistością, zdolną nawet do kierowania wielkim politycznym dziennikiem. W rzeczywistości jednak, mimo akademickiego wykształcenia, jest człowiekiem pozbawionym duchowych wartości, zajętym jedynie wykorzystywaniem osobistych znajomości. Żyje w niej przedewszystkiem pasja snobki, która zbiera znakomitości do swojego salonu. Zarówno jej polityczne ambicje, jak i poglądy zaczynają się i kończą na osobistych igraszkach.

Zwalczanie wpływów takiej kobiety było moim publicystycznym i politycznym obowiązkiem. Od początku było dla mnie jasne, że ściągnąłem na siebie jej nienawiść bezwzględną."

Jak widać z tego oświadczenia, konflikt zarysował się odrazu bardzo ostro i byłby prawdopodobnie zaraz w początku doprowadził do pokonania przeciwników ambitnej kobiety, gdyby nie nadszedł niespodziewany sukurs... z Paryża.

Oto w jednem z pism zajmujących się skandalicznemi pogłoskami ukazała się notatka o szpiegowskiej działalności pani Róży Ullstein, która miała dostarczać cennych wiadomości zarówno służbie wywiadowczej niemieckiej, jak i francuskiej. Jednocześnie niejaki pan Matthes zwrócił się z tą sprawą najpierw do dra Franciszka Ullsteina, a potem zaofiarował swoje usługi rodzinie, obiecując dzięki stosunkom z paryską policją dostarczyć fotografij z autentycznych aktów. Naturalnie nieoczekiwanego sprzymierzeńca powitano z najwyższą radością. Do Paryża wyjechali natychmiast specjalnie w tym celu zaangażowani adwokaci i młodsi przedstawiciele rodziny, a później wyjechał nawet sam naczelny redaktor „Vossische Zeitung", Georg Bernhard. Odbyto cały szereg poufnych konferencyj, które toczyły się zazwyczaj w małych kawiarenkach położonych w odludnych dzielnicach. Berlińczycy nawiązali kontakt z najrozmaitszymi aferzystami, którzy zjawiali się ochotnie, przewidując w tej powikłanej aferze suty i łatwy zarobek. Materjał obciążający Różę Ullstein zdawał się rosnąć z dnia na dzień. Zajmowano się również bardzo skrzętnie całą jej erotyczną przeszłością i jakby stwierdzono, że już od dwunastego roku życia objawiała wybujałe instynkty. Olbrzymi skandal formował się w coraz to większych rozmiarach i spadł, jak druzgocąca

lawina, na dra Franciszka Ullsteina po jego powrocie z urlopu.

Adwokaci działający w imieniu rodziny opowiedzieli mu o dokonanych przez siebie odkryciach i postawili bardzo twarde warunki. Dr Franciszek Ullstein musi rozwieść się z żoną, a jednocześnie ustąpić z zarządu „domu ullsteinowskiego".

Dodać tutaj nawiasem należy, że poza stanowiskiem i znacznemi wpływami, chodziło w tym wypadku o olbrzymie sumy pieniężne, albowiem roczne dochody dra Franciszka Ullsteina wynosiły ni mniej ni więcej jak tylko dwa miljony marek niemieckich. A więc gra warta była świeczki.

Po dziesięciu dniach pertraktacyj zmuszono wreszcie Franciszka Ullsteina do kapitulacji i opuszczenia stanowiska.

Ale był to tylko chwilowy triumf.

Rzeźki staruszek i jego ambitna żona wytoczyli swoim przeciwnikom proces o zniesławienie. Proces odbył się w dwuch terminach i wykazał, przynajmniej narazie, zupełną bezpodstawność wszelkich oskarżeń. Materjałów udowadniających szpiegowską działalność Róży Ullstein sądowi nie przedłożono. Zniesławiona kobieta oczyściła się z zarzutów, a dr Franciszek Ullstein wrócił na stanowisko absolutnego władcy.

Rozpoczął się zkolei okrutny porachunek z pokonanymi przeciwnikami.

Cała koalicja została odsunięta, jak się to trywialnie mówi, „od miodu". Padł także ofiarą stary publicysta Georg Bernhard, który musiał stanowisko naczelnego redaktora wielkiego pisma zamienić na skromną posadkę w związku niemieckich domów towarów. Oskarżono go również o stosunki ze separatystami, zażądano wykluczenia go ze związku prasy niemieckiej i partji demokratycznej.

Pani Róża triumfuje na całej linji, a jej przeciwnicy pocieszają się nadzieją, że prędzej czy później znajdą się dokumenty, które dowiodą, że znajdowała się ona jednak w ścisłym związku z francuskim „contre-espionage".

Przyszłość najbliższa sprawę ostatecznie rozstrzygnie...

Tymczasem znajdujący się na uboczu tej afery spokojni widzowie muszą sobie jedno powiedzieć...

Z pomiędzy wielu ullsteinowskich romansów, które dotychczas się ukazały w druku, najbardziej interesujący jest ten, który prawdopodobnie nigdy w nakładzie Ullsteina nie wyjdzie.

Jest to bowiem jak najwierniejsze odbicie czasów współczesnych.

Polityka, miłość, intrygi, afery szpiegowskie... dużo słów szlachetnych i frazesów podniosłych, pod których powłoką szeleszczą ciągle pieniądze, pieniądze i pieniądze... ST. DZ.

CZEM SIĘ INTERESUJĄ AMERYKANKI?

W TYTUŁACH kilku bardzo interesujących artykułów, jakie przyniosły niedawne zeszyty czasopism kobiecych z Ameryki, widnieje wyraz „dekada". Okazję do użycia tego wyrazu w tytule, a często do napisania samego artykułu stanowi ta okoliczność, że liczba porządkowa bieżącego roku kalendarzowego posiada w miejscu jednostek cyfrę zero. Czysto zewnętrzna ta rzecz nie jest w żaden sposób związana z naszem życiem i nie ma na nie wpływu; wszak każdy rok jest o dziesięć lat późniejszy od swego dziesiątego poprzednika, jest więc jego dekadą, a epokowe zdarzenia bynajmniej nie szukają dla siebie tych samych lat, które ludzkość obrała za milowe kamienie wzdłuż drogi czasu. A jednak jest w naszej psychologji potrzeba tych znaków milowych i dlatego to każda zmiana roku, każda dekada a tem bardziej każde stulecie zawsze miały i zawsze będą miały siłę zmuszania ludzi do rzutu oka wstecz i wprzód, do robienia rachunku sumienia czy bilansu za okres ubiegły, a do stawiania prognozy i kreślenia planów na przyszłość.

Artykuły, które moją uwagę zwróciły, są różne co do treści i tematu, a łączy je tylko to, że każdy z nich stanowi rzut oka na ubiegłe dziesięciolecie, śledzi zmiany, rozwój, ewolucję w pewnej dziedzinie, a następnie próbuje linję tej ewolucji przedłużyć w przyszłość, i wypowiada mniej lub więcej śmiało przewidywania o przyszłym rozwoju i przyszłych zmianach. Każdy „bilans" za czas ubiegły, każdy „rachunek sumienia" jest samokrytyką, każdy zaś program, każda prognoza na przyszłość charakteryzuje nastroje i ideały dzisiejsze. To też artykuły takie dają doskonały wgląd wprost w duszę spółczesnej Amerykanki i z poglądami tam wyrażonemi warto się zapoznać.

Minionej dekadzie nie szczędzi się w nich ostrej, jakkolwiek chłodnej i rzeczowej krytyki. Pani Mary Roberts Rinehart pisząc w „Ladies Home Journal" nazywa ją „chaotyczną dekadą", a za główne czynniki, które ją kształtowały, uważa wojnę i prohibicję. Sądzi ona, że wojna pozostawiła po sobie zanik poczucia odpowiedzialności i skłonność do życia dorywczego, z dnia na dzień, którego jedynym celem było poszukiwanie emocji. Taka psychologja, wytłumaczalna u żołnierza na wojnie, udzieliła się też miljonom kobiet, które bezpośrednio lub pośrednio przeżywały podniecenie okresu wojennego i którym po wojnie trudno było powrócić do szarej rutyny codziennego życia. Zresztą całe społeczeństwo amerykańskie odczuło wpływ wojny; wzamian za wysiłki i wydatki wojenne, ponoszone chętnie i ofiarnie, żyło ono w stanie silnego, dramatycznego napięcia. Nic dziwnego, że powrót do codziennego, pokojowego trybu życia był trudny i połączony z ogólną depresją. A depresja moralna w życiu społeczeństwa nie jest sprawą dni ani tygodni. W takim to właśnie czasie wystąpił na widownię drugi czynnik: prohibicja.

Prohibicja sprawiła, że używanie alkoholu, i to w skoncentrowanej postaci, uważane dawniej za folgowanie potrzebie lub ułomności, stało się modnym sportem, który zaczął się szerzyć wśród dorastającej młodzieży. Jakby dla tem lepszego przygotowania gruntu pod obfity zbiór kąkolu, wojna przyniosła z sobą duże uproszczenie i ułatwienie form towarzyskich. Mówiąc w przenośni: „Amerykanin począł zasiadać do obiadu bez smokinga, a Amerykanka bez gorsetu". Tego czynnika nie można niedoceniać, gdyż więzy kodeksu form towarzyskich graniczą o miedzę tylko z więzami kodeksu moralności; bo jeśli form zachowania się nie można z moralnością utożsamiać, to jednak musi się w nich widzieć pewien surogat moralności.

Na tak przygotowaną rolę padło ziarno importowanego przeważnie z zagranicy kultu zmysłów, ciała i nagości, który stał się przedmiotem skomercjalizowanej eksploatacji na scenie, w filmach i w literaturze. Kult ten szerzył się i rozwijał pod pięknemi hasłami walki z hipokryzją, uświadomienia, otwartości i piękna, ale o nieszczerości tych haseł świadczy choćby to, że był to kult ciała wyłącznie kobiecego; kult ciała kobiety wyłączający jej umysł i duszę. I cytując dosłownie wymienioną powyżej autorkę: „naród idealistyczny, czyniący wielkoduszne wysiłki przeciw wojnie i tworzący

rzeczywisty postęp w wielu dziedzinach, w tej sprawie znalazł się na najkrótszej drodze do rynsztoku. Ale z początkiem nowej dekady ocknął się i poczuł niesmak. Zaczyna się dziwić jak się dostał tam gdzie się znajduje, podobnie jak człowiek pijany, który się obudził w nieznanem miejscu. Dnie nieodpowiedzialne minęły".

Pani Rinehart podkreśla z żalem, że wraz z przeszczepieniem na grunt amerykański dekadenckiej chłopczycy, zaczął znikać dawny typ „kobiecej" kobiety, a zanik ten spowodowały nietyle zmiany społeczne, z których przedewszystkiem należy wymienić rosnącą w dziesiątki miljonów ilość kobiet pracujących zarobkowo i usamodzielnionych społecznie, ile przedewszystkiem moda. Moda ubiegłego dziesięciolecia stworzyła nowe hasła. Zamiast piękna zaczął obowiązywać unormowany, tuzinkowy szyk. A wraz z tym szykiem znikł urok kobiety; co więcej, urok u kobiety stał się czemś nie do pomyślenia. „Kobieta w workowatej sukni sięgającej do kolan mogła być interesująca; mogła włożyć kolczyki zwisające do ramion i wziąć w usta cygarniczkę długą na pół łokcia i starać się być pociągającą. Ale nie mogła być uroczą." A z zanikiem kobiety - kobiecej, począł zanikać i typ silnego, opiekuńczego, męskiego mężczyzny. Jego miejsce zajął młodociany towarzysz rozrywek. „Silny, męski mężczyzna, niepotrzebny na widowni, znikł, chroniąc się do swego klubu. Ale z powrotnym ruchem wahadła mogą wrócić zarówno kobieca - kobieta jak i męski - mężczyzna."

Analizując ubiegłe dziesięciolecie i wytykając ostro, cokolwiek na wytknięcie zasługiwało, pani Rinehart znalazła też objawy, które na rachunku dzisiejszej Amerykanki kontuje na jej kredyt. Oto Amerykanka stała się bardziej ciekawą wiedzy niż dawniej. W rozbudzeniu tej ciekawości brały udział gazety i czasopisma, książki i radjo, ale nie wchodząc w przyczyny, skonstatować należy sam fakt, o którym świadczą choćby statystyki nakładów księgarskich. Narazie co prawda można mówić raczej o ciekawości niż o żądzy wiedzy, a ciekawość ta odnosi się przedewszystkiem do współczesnego życia, do chwili obecnej i pomija przedmioty zainteresowań bardziej akademickich. Ten objaw notuje się z radością, bo wiedza jest pierwszym stopniem do kultury; a z przyrostem prawdziwej kultury będzie zanikać wulgarność w stroju, w obyczajach i w życiu jako całości. Pani R. wylicza całą listę specjalnie amerykańskich wykroczeń przeciw kulturze, które obejmuje wspólnem mianem „wulgarności"; jest tam i życie nad stan, i chęć błyszczenia za wszelką cenę, jest przesada i ekscentryczność, ekstrawagancja i ostentacja.

Redaktor Loring A. Schuler w tem samem czasopiśmie śmiało i z przekonaniem stawia przepowiednię, że nadchodzące dziesięciolecie będzie „dekadą uroku i wdzięku". Wedle jego diagnozy wyrafinowanie okresu powojennego, z którem większości kobiet nie było do twarzy, ustępuje widocznie miejsca powrotnej fali elegancji, wdzięku i czaru. Pierwszą oznaką tej zmiany były dłuższe suknie, a „długa suknia wieczorowa wprost fizycznie przymusza do innych ruchów, niż te które umożliwiała krótka sukienka".

Mody ostatniego dziesięciolecia były w ścisłym związku z wysiłkami modernistów na polu sztuki. Ale modernistyczne meble nie były w stanie sforsować wstępu do domów mieszkalnych. Mamy bowiem „wrodzone poczucie piękna, którego nawet najszykowniejsza i najmodniejsza niewygoda nie potrafi oszukać".

Przyczyną załamania się tego, co stanowiło wczoraj ostatnie przykazanie szyku, były zbyt ciasne normy mody, powodujące znudzenie. Moda ograniczyła indywidualność i to nietylko na polu stroju. Ta uwaga p. Schulera jest zupełnie trafna. Przypomnijmy sobie np. tak charakterystyczne dla mody tego okresu kapelusze, wzorowane na kształcie hełmów żołnierskich i kapuz lotników. A czy może być coś mniej indywidualnego, coś bardziej unormowanego, jak uniform wojskowy?

Zestawiając i porównywając wczorajszą „smartness" (szyk) z zapowiedzianym na jutro wdziękiem i urokiem, mówi p. Schuler, że „szyk jest zewnętrzny, sztuczny i pozorny, podczas gdy urok jest wartością istotną; szyk jest jednaki dla wszystkich, jałowy, a znajduje przyjęcie dzięki instynktowi bierności mas, które pozwalają narzucać sobie cudze pomysły w sprawach ubrania, zachowania się, urządzenia mieszkań i t. p., urok zaś jest indywidualny i nie da się naśladować. Szyk, będąc zawsze jednaki, znudzi się i opatrzy, podczas gdy urok nigdy nie traci wartości. Szyk jest samolubny, podczas gdy urok jest hojny. Szyk dla swego powodzenia potrzebuje rozgłosu i jaskrawego światła, i często bywa źle wychowany, podczas gdy urok umie zawsze uczynić właściwą rzecz we właściwym czasie i jest sobą w każdem otoczeniu i na każdem tle. Bo szyk jest sztucznym wzorcem zewnętrznych pozorów, podczas gdy urokiem jest własność podobania się i pociągania, której nie można się przeciwstawić".

Wiele w tem szczerej prawdy, ale nasuwa się uwaga, że to, co p. Schuler mówi o „wczorajszym" szyku, odnosi się w dużej mierze do każdej mody. Czy nadchodząca „dekada uroku" będzie zupełnie wolna od kapryśnej królowej mody, i czy zdoła użyczyć uroku każdej kobiecie?

Ale cokolwiekby można do cytowanych tu zdań dorzucić, w postaci czy to komentarzy, czy uzupełnień, czy odrębnego zapatrywania, musi się przyznać, że głosy takie jak tu zacytowane sygnalizują zbliżanie się rzeczywistych i daleko sięgających zmian w rzeczach zewnętrznych, które będą wyrazem już zaszłych zmian w rzeczach głębszych, wewnętrznych. A te procesy i te zmiany nie ograniczają się do terytorjum jednego kontynentu.

WANDA RICHARD

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski   Powieść, 27   Copyright Agence Littéraire Internationale, Paris

— Teraz już nie. Ale, wie pani, dawniej bał się tych okolic.

— Wiem. Po śmierci ojca.

— A obecnie kocha się poprostu w swym majątku. Przypuszczalnie dlatego, że widzi, co pani potrafiła zeń uczynić. Przedtem ani mu w głowie było brać się do gospodarki rolnej. A właśnie tem powinien się był trudnić całe życie. Gdy zaś przypomnę sobie, jaki był zdechły jadąc tu, a jakim jest teraz zuchem...

— Zdaje się, — rzekła Anna, — że muszę już uciekać. Naiwność Madzi była dla niej nie do zniesienia.

— Jerry odprowadzi panią. I trzeba koniecznie bywać u nas. Wkrótce!... Weźmie to pani? Dla niej je zerwałam.

— Dziękuję, z całej duszy dziękuję. — Głos Ani drgnął. Dusiła się.

Jerrold szedł ścieżką, szukając jej oczyma. Pożegnała Madzię i poszła z nim w kierunku fermy.

— No, — zapytał, — jakże wam poszło z Madzią?

— Dokładnie tak, jak przypuszczałam. Tylko jeszcze gorzej.

Roześmiał się. — Gorzej?

— To znaczy, była milsza jeszcze, niż się obawiałam... Jerroldzie, ja się przy niej czuję taką kanalją, taką straszną kanalją. Jeżeli się kiedy dowie — — —

— Nie dowie się.

Kiedy odszedł, rzuciła się na kanapę i płakała.

Przez całe popołudnie Madzine tulipany stały w białoniebieskim dzbanie chińskim na stole. Miały dziecięce, niewinne liczka, pełne wyrzutu. Nic już nie będzie po dawnemu.

Rozdział piętnasty:

ANNA, JERROLD I MADZIA

1.

Była to niedziela w połowie kwietnia.

W piątek Jerrold pojechał autem do Londynu, skąd przywiózł Eliota na „końcówkę" (week-end). Anna przyszła, jak zwykle teraz w niedzielne popołudnia. Siedziały z Madzią na tarasie, gdy Eliot podszedł do nich tym znużonym i lekko chromym krokiem, który się Annie wydawał zarazem żałosnym i przedziwnym. Po kilku już chwilach Madzia wyszemrała jakieś cichutkie, niedosłyszalne usprawiedliwienie i zostawiła ich samych.

Zaległo krótkie milczenie, podczas którego wszystko co kiedykolwiek sobie mówili ożyło w nich, czyniąc zbędnemi wszelkie inne słowa, jakgdyby i tak toczyła się między nimi rozmowa długa, poufna. Eliot siedział bardzo cicho, nie patrząc na nią, a przecież uważny, jakby się wsłuchiwał w te bezgłośne słowa. Nagle Ania się odezwała, przerywając ten jego nastrój.

— Nad czemże teraz pracujesz? Nad bakterjologją?

— Uhum. Znaleźliśmy, czegośmy szukali: zarazki febry okopowej.

— To znaczy, ty znalazłeś.

— Ano, gdybym ja na to nie wpadł, toby wpadł kto inny. Dziesiątki nas uganiało się za tem.

— Och, Eliocie, jakże się cieszę. Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam, że nie ukończysz swej karjery bez jakiego wielkiego odkrycia.

— Moja droga, ja dopiero zacząłem karjerę. Przytem wielkie są tylko same badania, a te uprawialiśmy wszyscy. Wszyscy szukaliśmy tego samego. Że właśnie mnie się powiodło, to jeno szczęśliwy przypadek.

— Ale czyż się nie cieszysz, żeś to ty tego dokonał?

— Nie ma znaczenia, kto. Ale zapewne cieszę się. Jest to praca, której pragnąłem, i przypuszczam, że jest jedną z najważniejszych dzisiaj.

Tylę tylko powiedział. Przed laty, gdy jeszcze nic nie zdziałał, lubił gadać, z podnieceniem, zuchwale, o swych pracach; teraz, spełniwszy co sobie zamierzył, był pełen rezerwy, nieporuszony, bardzo skromny.

— Czy Jerrold i Colin wiedzą? — zapytała.

— Jeszcze nie. Tyś pierwsza.

— Kochane Eliocisko! wiedziałeś, iż będę rada.

— Poczciwa jesteś, że cię to zajmuje.

Naturalnie zajmowało ją to. Cieszyła się, że Eliot ma to szczytne zadowolenie, wetujące mu poczęści okrucieństwo, z jakiem odmówiła mu gorętszego uczucia. Być może — myślała — nie dokonałby swego odkrycia, mając ją przy sobie. Byłby rozdarty na dwoje. Czuła, że nie kocha jej bardziej ponad swą naukę, nauka zaś wymaga służby nieprzerwanej, niepodzielnej. W jednem życiu nie mogą się zmieścić dwa takie ukochania; to też może Eliot nie zdziałałby tyle, gdyby ona była przy nim, ściągając ku sobie jego myśli, zagarniając całe jego uczucie.

— Co teraz przedsięweźmiesz? — zainteresowała się.

— Przedewszystkiem wyjeżdżam na miesięczny urlop. Na Sycylję — do Taorminy. Pracowałem jak wół i jestem troszkę ochlapnięty. Jakże tam Colin?

— Lepiej, bez porównania lepiej. Prędko się otrząsnął ze swego powrotnego napadu w czasie mej lutowej nieobecności.

— Innemi słowy, otrząsnął się z tego za twoim powrotem.

— No tak, jeśli chcesz. Za moim powrotem. Oto właśnie, co mi się w nim nie podoba. Uzależnia się ode mnie, a to dla niego źle. Chciałabym, żeby gdzie wyjechał dla zmiany. Dla długiej zmiany. Gdzieś daleko ode mnie, od fermy, od Wyck, gdzieś, gdzie jeszcze nie bywał. Toby go mogło uleczyć, nie uważasz?

— Owszem, — odparł. — Owszem. Wartoby spróbować.

Nie patrzył na nią. Wiedział, do czego zmierza. Po chwili wyraziła to:

— Eliocie, jak sądzisz? nie mógłbyś go wziąć ze sobą? Zniósłbyś ten wysiłek?

— Skoro tyś go znosiła cztery lata, to chyba powinienem być w stanie znieść go przez miesiąc.

— Gdy zdrowie mu się poprawi, nie będzie to nawet wysiłek. Nie przysparza kłopotu, kiedy się lepiej czuje. Jest wtedy strasznie miły. Tylko że... być może... jeżeliś przemęczony, nie powinieneś — —?

— Ba, nie jest ze mną tak źle. Sęk w tem jedynie, iż twojem zdaniem trzeba mu odjechać od ciebie, a ja pragnąłem, byś mi towarzyszyła.

— Ja?

— Ty i Madzia i Jerrold.

— Wykluczone. Niepodobieństwo. Nie mogę porzucić majątku.

— Moja kochana, nie możesz również być doń przykuta łańcuchami. Czyż nigdy się nie wydalasz?

— Pod nieobecność Jerrolda lub Colina, nigdy. Nie możemy wszystko troje wynieść się jednocześnie. Ale bardzoś dobry, że ci to przyszło na myśl.

— Nie mnie. Madzi.

Madzi? Czy Anna nigdy się nie wyzwoli od Madzi, jej słodyczy i dobroci, która jej serce rozrywa?

— Twoja odmowa będzie dla niej wielkim zawodem.

— Dlaczegóż?

— Bo chce, żebyś nam towarzyszyła.

— Madzia?

— Tak. Z pewnością wiesz, że cię lubi?

— Obawiałam się, że istotnie zaczyna...

— Czemuż to? Nie chcesz, by cię lubiła? Czyż ty jej nie lubisz?

— Owszem. A nie chcę tego. Gdy ją polubię nadobre, to i pokocham.

— Moja droga, świetnieby to było.

— Nie, Eliocie, nie... Ty nie wiesz. ...Oto ona.

Madzia szła ku nim skrajem tarasu. Poruszała się z niedbałym wdziękiem, leciutko pochylając głowę i kołysząc się w pasie; była bez tchu, jakby szła pod silny wiatr. Eliot ustąpił jej krzesła i odszedł utykając.

— Powiedział pani o Taorminie?

— Tak. Ujmuje mię pani swą dobrocią...

— Pojedziemy, co?

— Ja niestety nie mogę.

— Dlaczegóż, na miłość Boską?

— Po pierwsze, nie mogę porzucić gospodarki, kiedy Jerrold i Colin będą nieobecni.

— Oj, utrapienie z tą gospodarką. Musi ją pani

porzucić. Przez dwa miesiące ferma obejdzie się bez pani. Nic nie zajdzie w tak krótkim czasie.

— O, nie wiadomo! I w jeden dzień może się to przytrafić, gdy nie pilnować.

— Ba, choćby się i przytrafiło, Jerrold niezbyt się zmartwi. Natomiast zmartwi się bardzo, jeżeli pani nie pojedzie. Ja też. A przytem wszystko już postanowione. On i Eliot wrócą na czas sianożęcia, pani zaś, ja i Colin zwiedzimy włoskie jeziora. Moi rodzice w czerwcu przyłączą się do nas nad Como. Spędzimy tam miesiąc i wrócimy przez Szwajcarję.

— Byłoby to cudowne, ale nie mogę, doprawdy nie mogę, pani Madziu. — Myślała: Wróci tu na sianokos.

— Musi pani. Nie można nam psuć całej przyjemności — Jerroldowi, Eliotowi i Colinowi. *I* mnie. Ani mi się śniło jechać bez pani.

— Czyż naprawdę chodzi pani o mnie?

— Naturalnie! I Jerroldowi też. Bez pani będzie zgoła co innego. Chcę choć raz widzieć panią ucieszoną. Paniby tak doskonale potrafiła się cieszyć. Chyba bardziej pragnę oglądać to, aniżeli Taorminę i jeziora włoskie. Niechże pani powie, że jedzie.

— Madziu, — rzekła Anna, przechodząc na „ty", — czemu jesteś takim dla mnie aniołem?

— Co znowu. Pragnę, żebyś z nami jechała, dlatego, że... dlatego, że pragnę. Bo lubię ciebie. Jestem szczęśliwa przy tobie. Jerrold również. Nie mówże więc, że więcej dbasz o fermę, niż o Jerrolda i o mnie.

— Z pewnością nie. Lecz... chodzi nietylko o fermę. Chodzi i o Colina. Chcę, żeby się na jakiś czas rozstał ze mną i sam sobie radził.

— Możnaby posłać Colina z Eliotem w inną część wyspy. Tylko że względem Eliota byłoby to jakoś niebardzo.

— Nie, Madziu, to na nic. Pojadę sobie gdzie, kiedy wrócicie.

— Ale d l a n a s to żadna pociecha. Jeżeli o to chodzi, powtarzam: Jerrold wróci na sianożęcie.

— Nie o tem myślę. Myślę o Colinie.

Mówiąc to wiedziała, że kłamie. Kłamie po raz pierwszy. Kłamie Madzi. Oto skutki znajomości z Madzią, oto skutki Madzinej słodyczy. Teraz będzie zmuszona kłamać i kłamać. Nie myślała obecnie o Colinie; myślała o tem, że jeżeli Jerrold wróci na sianożęcie, Madzia zaś pojedzie z Colinem na jeziora włoskie, to będzie miała swego kochanka dla siebie samej; przez cały czerwiec będą sami i razem. Będzie leżała w jego ramionach, nie przez jedną krótką kradzioną godzinę w niedzielę, lecz noc po nocy, od niezbyt późnego wieczora do świtu.

Albowiem w zeszłym roku, gdy nastała pora gorąca, Anna i Colin sypiali poza domem, w namiotach ustawionych na polach dworskich, zdala od hałasów fermy. Niski mur kamienny odgradzał Anine pole od Colinowego. W roku bieżącym, za powrotem Jerrolda, namiot Colina przeniesiono z pola do ogrodu. Latem Anna będzie znów sypiała w swym namiocie. Droga, wiodąca do jej pola z dworskiego ogrodu, biegnie przez trzy pastwiska i dwa odcinki młodej sosnowej szkółki.

Jerrold będzie do niej tam przychodził. Postawi łóżko w Colinowym namiocie w ogrodzie, i gdy noc zapadnie głucha pójdzie cicho dworskiemi polami, przez sosnową szkółkę, aż do niej. Tam będą leżeli jedno w ramionach drugiego, zupełnie bezpieczni, uchronieni od kroków przechodzących i podsłuchujących uszu, od ócz zazierających przez szyby.

I gdy tak myślała o jego przyjściu, słysząc jednocześnie własny głos kłamiący Madzi, krew oblała jej twarz aż do korzonków włosów.

— ...Myślę o Colinie.

Własny głos w dalszym ciągu rozbrzmiewał donośnie i przeraźliwie w jej mózgu, podczas gdy głosik Madzi płynął słabiutko, jakby z niezmiernej jakiejś dali.

— Nigdy nie myślisz o sobie. Jesteś poprostu z a dobra.

Ania się nigdy nie wyzwoli od Madzi, od Madzinej naiwności, która ją oskarża, która jej czyni wyrzuty, grozi jej. Słodycz Madzi przeszywa ją niby miecz, niby ostra trucizna; są w niej słowa dolegliwsze nad groźby, wyrzuty, oskarżenia. Zanim poznała Madzię, nie wiedziała, co to strach, litość, skrucha; teraz, za sprawą Madzi, nigdy już nie ucieknie od skruchy i litości i strachu.

Otrząsnęła się. Rzekła sobie, że to nie kłamstwo, że istotnie myślała o Colinie, że pomyślała o nim najpierw; że odmówiła jazdy do Taorminy przed tem, nim jej oznajmiono, kiedy Jerrold ma wrócić. Nie jej wina, że obecnie wie o tem. Inna sprawa, gdyby coś knuła, gdyby zgóry liczyła na to. Nigdy, ani przez jedną chwilę, nie liczyła na nic, nic nie knuła. A mimo wszystko, na myśl o Jerroldzie serce skurczyło jej się i raniło o ostry miecz wyrzutów.

Z powodu Madzi, nic już nigdy nie będzie po dawnemu.

2.

W ostatnim tygodniu kwietnia, Jerrold i Madzia, Eliot i Colin odjechali do Taorminy. W ostatnim tygodniu maja, Jerrold i Eliot w swej drodze powrotnej do domu, zostawili Madzię nad Como, gdzie już oczekiwali Sir i Lady Karolostwo Durhamowie. Colina zostawiono samego w Taorminie.

Natychmiast po wylądowaniu, Colin zakochał się w Sycylji i wręcz odmówił wyjazdu stamtąd. Czuł, że teraz wyzdrowienie znajduje się we własnych jego rękach i że póty się nie uwolni od choroby, póki będzie się bał samotności. Musi się wyłamać z nałogu zawisłości od innych. Tutaj zaś w Taorminie jest właśnie miejsce, w którem uda mu się znieść samotność. W jego poddaniu się temu urokowi była wolna wola, był pokój w kontemplacji tego piękna. A wraz z wolnością woli i pokojem odnalazł swą niezniszczalną jaźń, której długotrwałe schorzenie kończyło się oto.

Któregoś dnia, siedząc na hotelowym balkonie, napisał do Anny:

„Nie wyobrażaj sobie, że skorom wyzdrowiał tu daleko od Ciebie, to nie Ty mię uzdrowiłaś. Przedewszystkiem, nigdybym tu nie przyjechał, gdybyś mnie nie zmusiła. Wiedziałaś dobrze co robisz, wypychając mię. Teraz rozumiem, dlaczego Jerrold koniecznie chciał uciec po śmierci Papy. Mówił, że chce sobie urobić nowe wspomnienia. Otóż właśnie, ja tu zrobiłem to samo.

„Stało się to napozór za jednym zamachem. Kiedyś porzuciłem ich wszystkich i poszedłem na samotną przechadzkę. Nagle uświadomiłem sobie, że między mną a zdrowiem, zdrowiem całkowitem, nic nie stoi oprócz mnie samego, że poprostu czepiam się swej choroby dla pewnego rodzaju opieki, którą pod jej pozorem otrzymywałem, zupełnie podobnie, jak uczepiłem się Ciebie. Rozmyślałem o swej chorobie nieustannie, napełniałem nią sobie cały umysł, trzymałem się kurczowo lęku przed tą chorobą — poto widocznie, by się uratować od jeszcze gorszego lęku: strachu przed samemże życiem. I nagle, tutaj, wyzwoliłem się. Opanowało mię piękno tych okolic. Tego piękna nie zdołam Ci opisać; powiem tylko, że jest w niem dużo mocnego błękitu i złocistości, czysta złota atmosfera, dosłownie drgająca, zatapiająca wszystko niby złotym nurtem. Zdawało mi się, że już kiedyś tu byłem — i nie było to przelotne wrażenie, ale długa, uporczywa pamięć. Było to, jakby się odnalazło coś straconego, jakby długo szukana fraza muzyczna wytrysła nagle skądciś.

(C. d. n.)

KARJERA MANIUSI DUPONT

Wreszcie szofer zwolnił oszałamiający pęd samochodu na jakiejś przedmiejskiej uliczce, zabudowanej lichemi, parterowemi domkami o płaskich dachach, na których suszyła się bielizna, i szczelnie zamkniętych zielonych żaluzjach.

Wyglądało to, jak jakieś beznadziejnie smętne osiedle dla bezdomnych, czy kolonja robotnicza — bez jednego drzewka, bez jednej trawki. Tu i tam urozmaicał pejzaż zamordowany, gnijący w piekącem słońcu kot, czy pies przejechany przez samochód, nad którego trupem brzęczały czarne, ogromne muchy.

Gromada straszliwie brudnych bachorów grzebała w kupach śmieci, biła się o zardzewiałe pudełko od sardynek i wymyślała sobie po francusku, hiszpańsku i arabsku. Wymyślały sobie także rozczochrane wiedźmy, wieszające na płaskich dachach niedopraną bieliznę i przerażająco jaskrawe szmaty, powiewające na wietrze, niby zwycięskie sztandary.

— Brrr! Jakież to wszystko okropne — wzdrygnął się Staś Brzeski i oniemiał, gdy szofer zatrzymał się przed jednym z tych ubogich i brzydkich domków.

— Tak. To tu — przeczytał numer i zbliżył się do drzwi, na których lśniła mosiężna tabliczka z napisem: *Capitaine Dupont.*

— Naturalnie... *Capitaine Dupont* i nic więcej. Przecież kobieta tu się nie liczy... Cywilizacja, psiakrew... Kobieta tu nie jest „skarbem narodowym"...

Zapukał i dopiero po chwili usłyszał coś, jak mało zachęcający pomruk rozjuszonego lwa. Wszedł i z dreszczem zgrozy spojrzał w błyszczącą, czarną gębę olbrzymiego Murzyna w brudnym fezie i granatowym fartuchu. Murzyn pocił się, stękał i zaciekle czyścił w zapchanym kuframi, ciasnym przedpokoiku oficerskie buty.

— *Madame?* — zapytał niepewnie Staś Brzeski, oglądając nieufnie potężną muskulaturę czarnego draba, który wskazał mu coś łapą godną dusiciela — i czyścił dalej z pasją świeżo podzelowane, jak zauważył Staś, buty.

Poszedł więc dalej, zajrzał do biednej, malutkiej jadalni i zatrzymał się przed uchylonemi drzwiami minjaturowej kuchenki, w której jakaś tyłem ku niemu zwrócona istota płci żeńskiej prała w mydlinach męskie kołnierzyki.

— Aha, to pewnie jedna z tych niewolnic Murzynek — pomyślał i zapytał ponownie:

— *Madame?*

Schylona postać drgnęła gwałtownie, wyprostowała się, powoli, jakby ze strachem obróciła głowę i spojrzała na gościa parą głęboko podkrążonych, fiołkowych oczu.

Ale nie była to żadna Murzynka. Zkolei Staś Brzeski wytrzeszczył oczy i z niemal bolesnem osłupieniem patrzył, patrzył, patrzył. Ową „Murzynką" była sama Maniusia, pani Maniusia Dupont.

Zbladła, zachwiała się i mokrą rączką oparła się o stół. Przymknęła wreszcie oczy i jęknęła:

— To pan, panie Stasiu... Mój Boże, to pan?

Miała na sobie wypełzły od częstego prania i suszenia na słońcu tani szlafroczek z kreponu i na bosych nóżkach zniszczone arabskie pantofelki bez obcasów. Jej drobna sylwetka, niedawno jeszcze tak strzelista i pełna dziewczęcej gracji, była zmieniona i jakby ociężała.

Otarła o szlafroczek mokre ręce i zasłoniła niemi oczy w głębokim wstydzie, w rozdzierającym żalu, że czarodziejskim mirażom jej ekstatycznych listów zaprzeczyła tak brutalnie brzydka, smutna, szara rzeczywistość.

Staś Brzeski czuł, jak gardło mu zaciska jakiś spazm, w którym była litość, gniew i rozczarowanie. Zapytał wreszcie zmienionym głosem:

— Panno, ach tak... Przepraszam... Pani — poprawił się z goryczą — pani Maniusiu, co to wszystko znaczy?

Milczała ze spuszczoną głową, z opadłemi wzdłuż bioder, spracowanemi rękami. Wreszcie wskazała mu jakieś drzwi i powiedziała cicho i pokornie:

— Proszę, panie Stasiu, do mego pokoju. Ja tam za chwilę przyjdę...

Wszedł i zamiast „amfilady salonów o ścianach całkowicie wybitych cudownemi kobiercami", o których pisała Maniusia, zobaczył malutki, biedny pokoiczek z kominkiem z lichego marmuru, na którym stały fotografje dawno zmarłych rodziców Maniusi i w jaskrawym glinianym dzbanku okryty tiulem jej ślubny bukiet. Z poszarzałych i pożółkłych róż wiała jakaś nieopisanie żałosna melancholja.

W kącie stał tapczanik zastępujący łóżko, przykryty kilimem w żółte i zielone pasy — o ileż brzydszym od barwnych polskich kilimów... Skromna toaletka, mały stoliczek z książkami, parę wyplatanych z kolorowej słomy krzesełek i tani dywanik arabski na podłodze z kamiennych płyt dopełniały umeblowania tego bardzo, bardzo biednego „buduaru"...

Wzrok Stasia Brzeskiego zatrzymał się na wiszącym nad tapczanem obrazku Matki Boskiej Częstochowskiej z zatkniętą za złoconą ramkę gałązką polskiej sosny i zrobiło mu się nagle smutno i ciężko.

— Biedna, mała smarkata... Biedna, mała gęś z Pułtuska — pomyślał z palącym żalem i zajrzał przez nachylone drzwi do trzeciego i ostatniego pokoju.

Skromne, blaszane łóżko, kilka strzelb i kabylskich sztyletów, licha szafa z lustrem i duży, prosty stół z niemalowanego drzewa zarzucony mapami i książkami i na kominku panieńska fotografja Maniusi — dziewczęcy, radosny jej uśmiech i ufnie patrzące, przecudne oczy koloru modrych fiołków...

Ani śladu lamp z filigranu, lwich łbów, strzelb i sztyletów inkrustowanych srebrem i drogiemi kamieniami...

Cofnął się śpiesznie, gdyż usłyszał w przedpokoju lekkie, wahające się kroki.

Weszła Maniusia w trochę lepszym kimonie, z przygładzonemi włosami i przypudrowaną twarzyczką. Była bledziutka i nieśmiała, zalękniona i głęboko, boleśnie zawstydzona. Wskazała gościowi słomiane krzesełko i pudełko z papierosami.

Milczała długo i wreszcie zaczęła mówić nieswoim, zdławionym głosem:

— Niech pan, drogi panie Stasiu, zechce mnie zrozumieć... Niech pan mnie nie potępia... Mnie byłoby tak strasznie wstyd napisać prawdę. One tam w biurze wszystkie tak bardzo mnie nie lubiły i tak mi zazdrościły mego małżeństwa, moich podróży i Janka — mego męża... Łatwo sobie wyobrazić ich triumf, gdyby wiedziały, jak ja tu żyję. One mi zawsze tak okropnie dokuczały w biurze, za to, że byłam inna, zupełnie do nich niepodobna, a może i dlatego, bo wiedziały, że ja na całym świecie nie miałam nikogo, ktoby mnie obronił. I te moje listy, to było coś, jak zemsta za te wszystkie dokuczania i wyśmiewania się ze mnie. Ja wiem, że to brzydko, bardzo brzydko tak kłamać, ale cóż, ja, biedna, miałam zrobić? Napisać prawdę? Niktby mi chyba nie uwierzył, że w tej Francji, którą w Polsce tak naiwnie uważa się za kraj luksusu, wesołości i najwyższego komfortu, kobiety ze sfery inteligentnej mają gorsze i cięższe życie, niż nasze polskie stróżki. Że tu niema służby, a jeżeli jest, to tylko dla ludzi bardzo, bardzo bogatych, którzy często nawet za ogromne pieniądze nie mogą znaleźć kucharki, czy pokojówki. Żony oficerów i funkcjonarjuszy cywilnych w najstraszliwsze upały i ulewy podobne do potopu chodzą same na targ, gotują, sprzątają i piorą, bo cóż, proszę pana, ma się za pożytek z takiego głupiego i leniwego Murzyna, jak ten nasz Achmet? Umyje talerze, oczyści buty i idzie sobie. I niech pan sobie wyobrazi, że te panie uważają ten stan rzeczy za zupełnie naturalny! Są poprostu służącemi swych mężów, praczkami i pomywaczkami, a za to wieczorem wystroją się, wymalują, uperfumują, włożą jedwabne pończochy za 150 franków i idą na flirt i plotki do kawiarni, czy do kasyna. A ponieważ mężowie je zawsze widzą w domu w złym humorze, zaniedbane, zapracowane i nieapetyczne, więc też zdradzają je z różnemi takiemi — —

— Czyżby Dupont? — zaperzył się Staś Brzeski i surowo spojrzał na załzawioną panią Maniusię.

— Och nie! — zaprzeczyła gorąco, potrząsając swemi ślicznemi, pałającemi, jak słońce puklami. — On mnie na pewno nie zdradza... Przecież ożenił się ze mną z miłości...

— On cię *jeszcze* nie zdradza, biedna mała gąsko z Pułtuska — pomyślał Staś Brzeski i z gniewem i smutkiem przyglądał się zmizerowanej twarzyczce — czarującej i tak pełnej duchowego wyrazu, jak dziewczęce oblicza Stachiewicza.

Czuł, że w sercu jego nie wygasło jeszcze dawne uczucie dla Maniusi i chętnie zmiażdżyłby pięścią nos każdemu nikczemnikowi, któryby zrobił tej bezbronnej istocie najmniejszą krzywdę.

— I on tak pozwala pani zamęczać się i zapracowywać? — zapytał ze złością, krztusząc się dymem ohydnego „Bastosa" z czarnego tytoniu.

— A cóż on może na to poradzić? — podniosła bezradnie brewki pani Maniusia. — Z ogromnym trudem znalazł mi jakąś Murzynkę do posługi, ale trzeba ją było wypędzić, bo kradła, upijała się absyntem, miała romans z ordynansem i w dodatku była chora na taką jedną okropną, bardzo tu rozpowszechnioną chorobę — Maniusia zaczerwieniła się, jak za niedawnych, panieńskich czasów —

— Tu wszyscy tak żyją, proszę pana. Smutne i ciężkie to życie — zwiesiła boleśnie główkę. Nikt u nikogo nie bywa, do bardzo lichego zresztą teatru chodzą tylko ci nowi bogacze w brudnych koszulach i z brylantami na nigdy niemytych łapach. Wszyscy strasznie oszczędzają, bo tu kocha się tylko pieniądz. Ach, zupełnie inaczej, niż tam u nas w Polsce... Tam jest taki inny, cudowny świat, tacy inni, weseli, dobrzy ludzie... A nasz karnawał w Warszawie... Wszystko cieszy się, śmieje — ludzie, domy, ulice, srebrne dzwonki sanek zanoszą się od śmiechu, okna buchają światłami, wszędzie muzyka, upojenie, radość, uszczęśliwienie... A śnieg jest biały, miękki, srebrny — mówiła z przymkniętemi powiekami, jak w bolesnej ekstazie. — Ja tak strasznie, tak strasznie tęsknię, panie Stasiu — wyszeptała i już nie panując nad sobą, rozpłakała się, jak mała, skrzywdzona dziewczynka.

Staś Brzeski schwycił jej biedne, spracowane rączyny, ucałował je gorąco i zapytał:

— A możeby pani wróciła tam do nas, do Warszawy? Przecież szkoda marnować takie młodziutkie życie? Przecież pani

jest taka inna od tych wszystkich tutejszych ludzi i taka między nimi na pewno straszliwie samotna...

I z zachwycającą, właściwą Polakom donkiszoterją zaproponował „prosto z mostu":

— Ot, niech pani rozwiedzie się z tym swoim Dupontem i już! Ja przecież oddawna kochałem się w pani, panno Maniusiu, i na pewno będę dla pani dobrym mężem — mówił cicho i pogłaskał śliczne, złociste włosy pochylonej główki.

Blada, zapłakana twarzyczka spojrzała na niego parą zdumionych, szeroko otwartych oczu.

— No cóż, zgoda, Maniusiu? — szepnął, dotykając drżącemi ustami jedwabistych kędziorów.

Potrząsnęła głową i powiedziała cicho:

— Pan mnie źle zrozumiał, panie Stasiu. Ja przecież nie skarżę się na męża. Janek jest bardzo dobry i kocha mnie naprawdę. Nauczył się w Polsce robić wiele rzeczy, które tu uchodzą za śmieszne...

— Naprzykład? — ze złością zapytał Staś Brzeski, chodząc olbrzymiemi krokami po pokoju.

— Naprzykład całuje mnie w rękę nawet na ulicy, gdy czekam na niego pod bramą koszar, choć ludzie za naszemi plecami pękają ze śmiechu — mówiła nieśmiało Maniusia. — Albo już oduczył się nazywać mnie *mon petit choux* — moja mała kapusto, *mon petit loup* — mój mały wilku, albo *ma cocotte*...

— Co? — krzyknął z wściekłością Staś Brzeski. — On śmie panią nazywać kokotą?

Pani Maniusia, mimo łez srebrzących się jeszcze na jej rzęsach, parsknęła swoim dawnym, panieńskim, serdecznym śmiechem i zaprotestowała wesoło:

— Ależ niech się pan nie złości, panie Stasiu! Oni wszyscy tak nazywają swoje żony. I *cocotte*, to znaczy kurka, rozumie pan? Mała kura, a wcale nie to, co pan myśli... A w biurze mnie przecież także przezywali „tą małą gęsią z Pułtuska"...

Staś Brzeski ochłonął z gniewu i roześmiał się także, a pani Maniusia mówiła dalej z zabawną i wzruszającą zarazem powagą:

— Janek mi ustępuje w bardzo wielu rzeczach, panie Stasiu. Naprzykład my jedni jadamy tutaj na serwecie, a nie na tradycyjnej ohydnej ceracie francuskiej. Przecież w Polsce nawet biedni ludzie z inteligencji podają choćby na cerowanej i łatanej serwecie, nieprawdaż? Nie mamy także wspólnej sypialni z tem okropnem, szerokiem łóżkiem, zajmującem cały pokój, na którem każda szanująca się para francuska musi sypiać do śmierci, choćby oboje nienawidzili się, jak para śmiertelnych wrogów. Janek przynosi mi nawet czasem kwiaty, choć żaden Francuz chyba jeszcze żonie kwiatów nie ofiarował. I tak lubi dom, ten nasz biedny, maleńki dom, nie gra w karty i nigdy nie chodzi sam do kawiarni, jak inni jego koledzy. Wczoraj mi nawet powiedział, że za parę miesięcy, gdy mu podwyższą pensję, kupi mi pianino, naturalnie, używane, ale zawsze pianino...

— Na raty — mruknął i chrząknął niemile Staś Brzeski, przeszywając niezbyt życzliwem spojrzeniem fotografję szczęśliwego rywala w ramce, udającej złocony bronz. — Więc jednem słowem pani jest szczęśliwa? — zreasumował z odcieniem gorzkiej ironji.

Maniusia Dupont długo milczała, splatając i rozplatając zniszczone domową pracą paluszki o zaniedbanych, matowych paznokietkach i wreszcie powiedziała z zadumą:

— Nie, panie Stasiu, ja nie jestem szczęśliwa. Byłabym na pewno szczęśliwa, gdybyśmy mieszkali w Polsce. Ale my wrócimy do Polski dopiero na starość, gdy Janek zostanie spensjonowany. — Więc muszę uczyć się czekać cierpliwie na to dalekie, dalekie szczęście... Ale czyż są ludzie szczęśliwi, *długo* szczęśliwi, rozumie pan, panie Stasiu? Wątpię. Wkrótce — pochyliła nisko głowę i zamknęła oczy w jakiemś patetycznem skupieniu, które jej twarzyczkę oblało cudownem, tajemniczem światłem — będę szczęśliwsza — —

— Dlaczego? — niedyskretnie i obcesowo zapytał Staś Brzeski.

Milczała długo i w pewnej chwili, nie podnosząc głowy, powiedziała cicho z niewysłowioną słodyczą:

— Będę matką, panie Stasiu. I może to maleństwo zastąpi mi Polskę...

— Ach, tak — syknął Staś Brzeski, który uczuł nagle śmiertelną nienawiść do tego „nadętego orderowicza", jak nazwał w myśli męża pani Maniusi. — I ten Dupont, naturalnie, aż tańczy z radości?

— Ach, on się strasznie cieszy! — z zapałem potwierdziła pani Maniusia. — I jest taki dumny, bo przecież większość jego kolegów jest bezdzietna. Pan wie, że Francuzki okropnie nie lubią mieć dzieci...

Staś Brzeski zapalił ze wstrętem nowego „Bastosa" i szyderczo kiwał głową z groźnym marsem na tak gładkiem zwykle czole ładnego, beztroskiego chłopca.

A pani Maniusia pochyliła jeszcze niżej zamyśloną główkę i z pewnem, zupełnie panieńskiem zawstydzeniem szepnęła nieśmiało:

— I co najważniejsze, panie Stasiu — —

— No, proszę, niech pani mówi — kwaśno dodawał jej odwagi Brzeski.

Pani Maniusia spojrzała na niego swemi dziecinnie szczeremi oczami.

— Że ja kocham mego męża — —

— Co? Naprawdę kocha pani tego Duponta?

Staś Brzeski zerwał się na równe nogi, jak gdyby pani Maniusia zwierzyła mu jakąś niebywale sensacyjną tajemnicę.

— Naprawdę, panie Stasiu, ja kocham *tego* Duponta — uśmiechnęła się ślicznym, bardzo kobiecym uśmiechem.

I nagle ze zgrozą spojrzała na zegareczek, śpiesznie cykający na stoliku obok fotografji męża.

— Jezus Marja! Już jedenasta — zawołała z komicznym przestrachem. — Za trzy kwadranse Janek przyjdzie na obiad, a dla Francuza opóźnienie choćby o jedną minutę tak ważnej ceremonji, jak jedzenie, jest katastrofą, jeżeli nie kataklizmem. Pan nie ma pojęcia, jacy oni są przerażająco punktualni — żartowała ze swą dawną, promienną wesołością. — A teraz, panie Stasiu, musi pan iść do naszego ogródka i zaczekać grzecznie na obiad, dobrze?

Staś Brzeski westchnął, ujął obie ręce pani Maniusi, ucałował je w milczeniu, popatrzył długo w fiołkowe, prześliczne oczy i posłusznie wyszedł do „ogródka".

Był to kawałeczek ziemi, trochę większy od chustki do nosa. Nie szumiały w nim ani palmy opisywane przez panią Maniusię, ani drzewa pomarańczowe i migdałowe. Nie było także „melodyjnie szemrzących fontann z różowego marmuru", ani „stubarwnych, zabawnie skrzeczących papug". Ale za to nad paroma grządkami cebuli, sałaty i rzodkiewek suszyły się na sznurku pracowicie pocerowane — skarpetki pana Dupont...

Staś Brzeski usiadł w dziurawym wyplatanym fotelu i zaczął głęboko rozmyślać, co zresztą zdarzało mu się bardzo rzadko.

I doszedł do przekonania, że najważniejszą, najcenniejszą i najpiękniejszą rzeczą w życiu mężczyzny jest miłość takiej „małej gęsi z Pułtuska", takiej cichej, bohaterskiej Maniusi Dupont w zniszczonych pantofelkach i w wyblakłym od częstego prania szlafroczku. I w sercu jego zgasła złość i niechęć do „tego nadętego orderowicza", do *tego* Dupont, który nauczył się przynosić swej polskiej żonie kwiaty, jadać na serwecie, nie nazywać jej „małą kapustą", czy „małą kurą", a „nawet" całować ją w rękę na ulicy.

Ogarnęło go „śmieszne i głupie" — jak pomyślał — rozrzewnienie. I gdy w tym zabawnym „ogródku" zjawił się wreszcie opalony, jak Arab kapitan Dupont, bardzo męski, a nawet przystojny w białym kasku kolonjalnym i płóciennym mundurze *khaki*, obaj panowie uścisnęli sobie ręce z niekłamaną serdecznością, a Dupont wydał się Brzeskiemu wcale miły w tej nowej roli gościnnego gospodarza.

— *Monsieur* Stasz Szeski! — cieszył się kapitan.

— I pomyśleć tylko, że kiedyś z rozkoszą byłbym panu połamał kości!

— I ja panu także — śmiał się „Stasz Szeski" i już bez zazdrości patrzył z jaką czułością „nadęty orderowicz" całował na powitanie małe rączyny swej żony.

I gdy zasiedli do obiadu, do stołu nie podawały żadne „Murzynki w malowniczych strojach", ale sama pani Maniusia Dupont, dumna i uszczęśliwiona, że wyjątkowo udała jej się minjaturowa pieczeń barania.

I choć Staś Brzeski wstał od stołu głodny, jak zresztą każdy Polak po każdym francuskim obiedzie, po czarnej kawie podanej w „ogródku" żegnał się z małżeństwem Dupont z prawdziwym żalem i odchodząc, szepnął kapitanowi z nietajoną zawiścią:

— Ale też pan sobie wybrał anioła na żonę, kapitanie!

Dupont wypiął dumnie swą szeroką pierś, ozdobioną dwoma rzędami orderowych wstążeczek i patrząc z miłością na złocistą główkę pani Maniusi, powiedział z pychą okropną polszczyzną:

— Ja myślę! Manusza jest naprawdę aniolem i perlą...

„Perla" zarumieniła się lekko z radości i z przed drzwi ubogiego domku o zielonych żaluzjach przesłała odchodzącemu swój ostatni, pożegnalny, trochę smutny uśmiech. HELENA FILOCHOWSKA

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

ZOFJA ŻURAKOWSKA: „Roman i dziewiętnastu". Powieść dla młodzieży. 1930. Warszawa-Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie.

Problem własnej drogi, na opak gromadzie, choć dla jej szczęścia, problem prometejski, jak się chętnie mówiło za czasów Młodej Polski — ale obrany z patosu, zdjęty z koturnu, przedstawiła Żurakowska w swej skromnie nazwanej „powieści dla młodzieży". Pokazała nie znaną już napamięć „wielkość na wysokiej skale, w swojej własnej śpiącą chwale", ale indywidualność nieprzeciętną, o twardym karku, mającą własne spojrzenie na świat i własną koncepcję metod życiowych. Człowieka w momencie stawania się wewnętrznego, przedzierającego się boleśnie przez rzeczywistość, łamiącego się niemniej dotkliwie z otoczeniem, jak z sobą samym. Nieodłączna jest wrogość przeciętności - otoczenia. „Większość klasy" oczywiście „nie lubi" tej indywidualności bojującej. „Lubi się miękkich, łatwych, pogodnych, zgodnych i skłonnych do kompromisu. Lubi się łagodnie obojętnych i pobłażliwych na zło i dobro."

Żurakowska umie sugestywnie przedstawić wulkan, huczący w duszy mocnej, bystrze widzącej, wrażliwej i drażliwej i na mocy tych właściwości, niezawsze sprawiedliwej, choć dumna jej, wysoka ścieżka wiedzie do doskonałości etycznej. Perypetje gminy szkolnej, budowa sali zebrań, urastają do rozmiarów zdarzeń ważnych i poważnych. Dorosły czytelnik chłonie tę powieść z głęboką satysfakcją, nie potrzebując uśmiechać się pobłażliwie i „przyniżać się" do maluczkich. Zachwyca go świetna zwięzłość kompozycji, zwartość budowy, nie dopuszczająca jednego zbędnego słowa. Zachwyca go różnorodność i pełna żywość postaci, znakomita ich plastyka, do której wielce przyczynia się odrębny dla każdej z nich, niepospolicie zaobserwowany język. Zachwyca go wielostronność w artystycznem, a śmiałość w ideowem ujęciu zjawisk życia i doskonałość w wyrażeniu tego ujęcia. Uderza ostrość inteligencji, celność i lotność dowcipu.

Największą atoli zaletę tej książki stanowi fakt, iż nie jest ona pisana *ad usum scholarum*, z mdłym kąskiem morału zatkniętym na widelcu. Zwycięstwo jest poniekąd za błękitami — ale bezsprzecznie jest, choć bezpośrednio nie daje się ująć w ręce zwycięzcy. Zostawia nawet w jego duszy sporo goryczy. Ale orjentuje się w niem i formułuje je najpiękniejsza postać powieści, Joanna: „Jeden człowiek rusza bryłę z posad w wielkim trudzie, a potem wszyscy już razem toczą ją dalej, i zwykle spychają go wtedy z przodującego miejsca. Niema się czem przejmować, przecież najważniejsza rzecz się stała. Bryłę ruszono z posad."

Cóż za uchwycenie roli i znaczenia indywidualizmu! Jaka subtelna dystynkcja w zrozumieniu istoty zwycięstwa! I etyki zwycięstwa — czystej, bez cienia utylitaryzmu.

Ta mała książeczka jest jedną z najlepszych powieści, jakie pojawiły się u nas w ciągu ostatnich lat. Może służyć za model kompozycji, za wzór prostoty języka. Nie rozdłubuje się tu i nie rozdmuchuje drobiazgów, nie ciąga czytelnika po zakamarkach i nie pokazuje mu się fatałachów, nie służących do niczego, a raczej konstrukcyjnie spełniających wdzięczne zadanie drzew, które zasłaniają las. Autorka nie ma ambicji, by dać tom gruby, ale by wypowiedzieć swoją prawdę w sposób artystycznie czysty i jasny. To się jej udało. Sprawił to jej istotny, świeży, niewymuszony talent.

Czarująca książka! IDA WIENIEWSKA

GERHART HAUPTMANN: „Wyspa Wielkiej Matki — czyli cud z île Des Dames, historja z utopijnego archipelagu". Poznań, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

Dzieckiem — zdawało mi się zawsze, że słowo „utopja", to jakieś grzeczniejsze określenie — topielicy. Wydawało mi się pełne delikatności, dziś zaś widzę, że bywa nawet poniekąd trafne. Przypomniało mi się podczas czytania „Wyspy Wielkiej Matki". Tyle, że w hauptmannowskiej utopji jest topielic aż kilka tuzinów, które podczas rozbicia statku, tonęły wprawdzie, ale nie utonęły, — owszem, ocalały i założyły nawet na zagubionej w błękitach, samotnej wyspie, państwo niewieście, społeczeństwo, nową religję — żyjąc czas dłuższy życiem mistycznie i wzrokowo, cudownem — ba nawet dożyły jakoby rzeczywistego cudu same. Rzecz cała w tem, że Hauptmann, poeta, którego „Dzwon" topielec, dźwięczy w polskim języku wspaniałym przekładem Kasprowicza, stary czarodziej-mistrz, łyknął — jak to oni umieją! — odmładzających kropelek — i z całym bagażem przejrzałej myśli, dał nurka w szafirową toń, nietyle fantazji, ile alegorji. Ciężki bagaż pęta bowiem młodzieńczą ochotę ruchu. Autor oczywiście, gada sam ustami wszystkich swoich figur i figurynek, — ale do końca niewiedzieć czy kpi, czy o drogę pyta. Na wyspie mianowicie, rządzonej przez stokilkadziesiąt niewiast, znalazł się był, dzieckiem ocalały w rozbiciu, jeden jedyny chłopiec. Autor nie chciał go nazwać poprostu Faunem, więc go nazwał: Faonem. Nim Faon dorósł, poczęły się dziać dziwy na Wyspie. Dziewczęta-amazonki w nadziemski jakoby sposób, zaczęły rodzić dzieci. Zjawisko to stało się ośrodkiem i punktem wyjścia dla nowej religji i rosnącej nam w oczach mitologji. Na jej nadziemski jakoby, więc nienormalny początek — i naturalne pod koniec wygasanie, każe nam patrzeć autor zbliska i uważnie. Czy sam może spojrzeć prosto w oczy Faona, swego jedynaka na Wyspie Wielkiej Matki — nie wiem. Książka, pełna pozatem barw, obrazów i różnolitych typów kobiecych a nadto niczem nieusprawiedliwionych francuskich nazw geograficznych, kreowanych przez zwiane z całego świata wyspiarki, przypomina słynne fryzy Dieffenbacha. Długie, czarne na białem, procesje młodocianych nagich sylwetek, o charakterze klasycznym, z którym kłócą się różne całkowicie nowożytne akcesorja... Kto chce wszakże dopełnić wiadomości o dużym niemieckim poecie, któremu czytelnik polski niejedno piękne wzruszenie zawdzięcza, niech pozna i to ostatnie, przejrzałe jego dzieło.

Książkę, stanowiącą nowy tom „Biblioteki laureatów Nobla, zdobi świetne nazwisko St. Wasylewskiego, który ją przełożył, i słowo wstępne Kazimierza Czachowskiego. M. W.

S. JELEŃSKI: „O siódmej godzinie". Opowieść ewangeliczna. — Nakł. Księg. Św. Wojciecha — Poznań 1930.

Podobnie jak „Woda żywa" i „Mała Miriam", opowieść ewangeliczna, „O siódmej godzinie" jest bardzo pożyteczną i miłą publikacją S. Jeleńskiego. Nadewszystko zaś polecenia godną wydaje się być dla naszej młodzieży, która tym sposobem łatwiej zbliżyć się może do dziejów biblijnych. Książka Jeleńskiego, ozdobiona stylowemi rysunkami Zofji Stanisławskiej — napisana gładko i zajmująco, tematycznie obraca się około Chrystusowego cudu w Kanie galilejskiej i uzdrowienia Sarwiego, syna Chuzy z Kafarnaum. Wydana pięknie stanowić może najmilszy i najbardziej właściwy podarek dla szkolnej dziatwy. W. LEWIK

Z ZA KULIS DOMOWYCH

ZNAMY się już tak dawno, drogie Czytelniczki, mówiłyśmy o tylu rzeczach, rozstrząsały tyle spraw, a nie tykały nigdy kwestji, która zazwyczaj zajmuje honorowe miejsce w kobiecych dyskusjach i wynurzeniach — kwestji gospodarskich kłopotów i służby. Dziś zatem przystąpię do tego ekscytującego problemu, lecz nie na to aby go rozstrzygnąć, lecz na to, aby Was pocieszyć.

Wszystkie panie domu narzekają na służbę i wszystkie zgodnie stwierdzają, że owe istoty, z któremi żyć trzeba, stają się do tego współżycia coraz mniej zdatne, że są powodem wiecznych irytacyj i nie mają nic wspólnego z ową chętną do pracy, przywiązaną i szanującą swych chlebodawców gwardją, o której istne cuda opowiadają nasze babki. Otóż zechciejcie mi wierzyć, moje Panie, że Polska jest pod tym względem błogosławionym krajem, że stare tradycje utrzymują się w niej jeszcze jako tako i że narzekałybyście znacznie mniej, wiedząc co się za granicą dzieje. Abyście mogły nabrać o tem pojęcia, dam Wam żywy obraz polskiego gospodarstwa w Paryżu i przedstawię typy tutejszej służącej do wszystkiego, zaznaczając, że nie będzie w tem żadnej przesady, że wszystko co powiem jest autentyczne, widziane, słyszane i wyzbyte wszelkiej literackiej koloryzacji. Jako przykład posłużą mi przeżycia jednej pary męczenników, moich bardzo bliskich krewnych, którzy się niedawno pobrali, nie przeczuwając, że ich szczęście małżeńskie systematycznie zatruwać będą służące.

Pierwsza, którą przyjęli, nazywała się Iwona; była młoda, sympatyczna, miała starannie ondulowane włosy i świetnie robiła majonez. Po trzech dniach podziękowała za służbę. Dlaczego? Dłatego, bo w jej pokoju nie było szafy z lustrem. Pan domu, nie wiem czy dla tych ondulowanych włosów, czy dla majonezu, chciał szafę kupić, ale pani się temu sprzeciwiła i Iwona poszła gdzie indziej szukać posady z lustrem i wszelkim innym należnym jej komfortem.

Przyszła Genowefa. Nosiła amerykańskie okulary w szyldkretowej oprawie, i wieczorami czytywała Balzaca; w robocie była dokładna i sumienna, a na brak wielkiego lustra w swoim pokoju nie zwracała najmniejszej uwagi. Cóż, kiedy miała manję punktualności, którą stosowała nietyle do siebie, ile do państwa. — Obiad o pierwszej. Pana niema. Genowefa się denerwuje i wypowiada swoje oburzenie w ten sposób: — Proszę pani, trzy minuty po pierwszej a pana niema. To niesłychane. Wczoraj pan się spóźnił o dziesięć minut, dziś będzie to samo. Jak pani może na to pozwalać; w żadnym domu tego nie widziałam. Pan powinien być w stołowym pokoju pięć minut przed pierwszą. — Kiedy raz państwo oboje spóźnili się na kolację o całą godzinę, Genowefy już w kuchni nie zastali. Na drugi dzień oświadczyła że odchodzi, zaznaczając z goryczą że wczoraj z winy państwa spóźniła się do kina.

Zaangażowano Jozefinę — starszą, stateczną niewiastę, nie noszącą ani amerykańskich okularów, ani ondulowanych włosów. Ta już na drugi dzień zgłosiła swą dymisję, dla tej prostej i naturalnej przyczyny, że pan żąda śniadania o ósmej rano, ona zaś sypia do dziewiątej, wobec czego przed dziesiątą nie może zjawić się z kawą.

Po tych nieudałych próbach, zwołano radę familijną, w której miałam zaszczyt uczestniczyć — i zadecydowano zrezygnować z francuskiej służącej i szukać Polki.

Znaleźć wykwalifikowaną polską służącą w Paryżu nie jest tak łatwo. Te wszystkie, które się zgłaszają, są to przeważnie robotnice, którym się nie poszczęściła karjera w fabryce lub na roli, i które w braku czego innego, decydują się na służbę w mieście. Nie mają one oczywiście do tej służby najmniejszych kwalifikacyj i tylko ludzie zrozpaczeni otwierają im swoje podwoje. Moi krewni byli właśnie zrozpaczeni i dlatego przyjęli Marysię. Marysia, stale zastraszona, zbiła kosztowny wazon, zepsuła kran w łazience, zrobiła kawę która co do koloru śmiało mogła uchodzić za herbatę, a co do smaku niewiadomo za co — nie wiedziała jak się sporządza jajecznicę i zaczęła płakać gdy ją chciano posłać na zakupy. Fiasko i znowu dymisja.

Przez szereg dni panowało bezkrólewie. Regentką była posługaczka, zmywająca garnki w gumowych rękawiczkach, aby rąk nie niszczyć, którą trzeba było tytułować Madame Alice. Madame Alice brała pięć franków za godzinę, a inaczej nie chciała się zgodzić jak minimalnie cztery godziny dziennie; przychodziła kiedy jej się podobało i opowiadała cuda - dziwy o swej córce, poświęcającej się filmowej karjerze. Madame Alice pracowała tak aby przez te cztery godziny jak najmniej zrobić, krytykowała mieszkanie i fryzurę pani domu, wzruszała ramionami gdy mówiono po polsku i dała się dobrze we znaki zarówno gumowemi rękawiczkami jak i nieustającą opowieścią o swej genialnej córce. Na szczęście z Zakładu św. Kazimierza przysłano Kasię, która już służyła w Paryżu w dwóch polskich domach.

Kasia nie prezentuje się bardzo po parysku. Jest źle uczesana, ściślej mówiąc: rozczochrana, a strój jej stanowi szeroka spódnica, kusy kaftanik i chimerycznej formy pantofle. Od początku objawiła niepohamowaną chęć paplania i co ważniejsze niespodziewaną umiejętność gotowania. Ze względu na to gotowanie postanowiono zamknąć oczy na niefortunny wygląd Kasi, a nawet cierpliwie słuchać jej szczebiotu o wybitnie wschodnio - małopolskim akcencie. Ponadto Kasia zgodziła się prać chustki, pończochy i jedwabne kombinacje, co również jest szczegółem godnym uznania, gdyż żadna Francuzka tego się nie podejmie. Nawiasem mówiąc, pranie całej bielizny w domu jest w Paryżu niemożliwe, dlatego bo niema strychów i suszenie może się odbywać tylko w kuchni lub w łazience. W rezultacie bielizna rozpada się po roku w kawałki, w pralniach bowiem chlorku nie żałują.

Kasia przyjechała do Paryża zrobić fortunę. Dowiedziała się, że we Francji służąca zarabia trzy razy tyle co w Polsce, gdyż pensja wynosi 400 do 500 franków miesięcznie — i wykombinowała sobie, że kilkuletnia służba umożliwi jej uskładanie wcale przyzwoitego posagu. Była to myśl mądra i godna uznania, niestety jednak przemieniła się ona u Kasi w żądzę zysku nie mającą granic i zrodziła pretensje, które są z jej osobą w rażącej sprzeczności. Kasia, mimo kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu, nie rozumie ani słowa po francusku, to jej jednak nie przeszkadza być doskonale poinformowaną o wymaganiach tamtejszej służby. Wie ona, że tej służbie „należy" się codziennie litr wina, że jada ona to samo co się podaje do stołu, nie wyłączając ostryg i homarów, że prócz niedzieli, ma ona jeszcze urlopy w tygodniu, że od dziewiątej wieczorem wszelka praca a nawet obecność może być tylko dobrowolną, do której nikt nie ma prawa jej zmusić i t. p. — Kasia osobiście tych wszystkich potrzeb nie wyczuwa. Od wina kręci jej się w głowie, ostrygi uważa za rzecz wręcz obrzydliwą, a zbyt częstych urlopów nie pragnie, gdyż nie ma gdzie i do kogo chodzić. Natomiast Kasia posiada wysoce rozwinięty zmysł komercjalny, czego dowodem propozycje jakie czyni swej pani. Wina pić nie będzie, ale chce aby jej wypłacano gotówką to, coby wino kosztowało. Tyczy się to również ostryg i homarów. Co zaś do ilości godzin służbowych, gotowa jest kamieniem siedzieć w kuchni do białego rana, pod warunkiem że otrzyma specjalną gratyfikację. Gdy się Kasi uda dobre kupno na targu, żąda od pani bodaj franka na podziękowanie i uważa że wszystkie posyłki powinny być osobno płatne, gdyż chodzenie buty zdziera, a nowych kupić nie można, bo całą pensję trzeba na posag odłożyć. Gdyby tak zliczyć projektowane, dodatkowe zyski Kasi, powstałaby z tego druga pensja. Kasia musiała być w poprzedniej inkarnacji ministrem finansów. Jej służbodawcy się wściekają, ale pomni co ich czeka, gdy Kasia odejdzie, dochodzą drogą układów, perswazyj i kieszeniowych poświęceń do porozumienia i Kasia trwa nadal na swem posagodajnem stanowisku.

I czemże wobec tego wszystkiego są niewinne kaprysy naszej służby w kraju? Czyż jest ona doprawdy tak złą, jak nam się wydaje? Brak jej zapewne tego stopnia cywilizacji, jaką posiada służba na Zachodzie — ale czyż nie jest czasami lepszy brak cywilizacji niż cywilizacja źle pojęta i sparodjowana, której rezultatem jest konieczność posiadania szafy z lustrem i nieposkromiona chęć narzucania służbodawcom swoich wygórowanych a często bezsensowych żądań? Wymagania naszej służby są minimalne. Jest ona dotychczas, mimo wszystkich komunistycznych prądów, przeciążona pracą i naogół dosyć źle traktowana, reagując na to bardzo słabo. Słyszy się często zdanie, że naszej służby nie można inaczej traktować, gdyż surowość i bezwzględność jest najlepszym sposobem skłonienia jej do posłuszeństwa i spełniania obowiązków. Jest w tem może nieco prawdy — smutnej prawdy. Współżycie ze służbą byłoby przecież znacznie przyjemniejsze, gdyby tej metody nie trzeba było używać. Znam jednak domy, gdzie się pod tym względem postępuje bardzo umiarkowanie, a rezultat nie jest najgorszy, a często nadspodziewanie dobry. Lepiej czuć wokoło siebie przyjaciół, niż pozornie posłusze a gotowe do buntu konie robocze. I nie należy zapominać, że pierwszym warunkiem ucywilizowania tych ludzi jest traktowanie ich w cywilizowany sposób, nie dopuszczając oczywiście do tych ekstremów, które się widzi na Zachodzie. Te ekstremy są nadzwyczajnie zaraźliwe i dlatego polska dziewoja, przeplantowana na zagraniczny grunt, zmienia się w dziwoląga w rodzaju Kasi. Imituje ona właśnie to co najgorsze i nie daj Boże gdy wróci do kraju i zacznie pouczać swoje towarzyszki. Na szczęście, Kasia jadąca do Paryża robić w służbie karjerę jest bardzo rzadkim okazem, i posługaczka w gumowych rękawiczkach narazie nam nie grozi. Możemy więc spokojnie cywilizować naszą służbę, która jest niezepsuta i ma wszystkie dane ku temu, aby z tej cywilizacji przyjąć tylko to, co jest dla niej istotnie wskazane i potrzebne, a z czego my możemy mieć tylko użytek i pociechę. Nie narzekajmy więc zbytnio i zrozumiejmy że jeśli jest źle, to w naszym ręku leży aby było lepiej. Skoro cięgi zarzucono nawet w tresurze zwierząt, gdyż okazało się że spełniają one najlepiej to czego się od nich żąda nie pod wpływem strachu, lecz wówczas gdy rozumieją o co chodzi; skoro nowoczesna pedagogja stara się unikać drastycznych środków, — zarzućmyż więc złe słowa i wymagania nadmiaru pracy od tych, którzy przecież także mają prawo do własnego życia i którzy najlepiej będą spełniać swe obowiązki wówczas, gdy zrozumieją

jak i dlaczego spełniać je trzeba i gdy kierować nimi będzie nietylko chęć zarobku, lecz także życzliwość i wdzięczność dla swych chlebodawców.

A gdy Was, moje Panie, czasami służąca zniecierpliwi swoją nieumiejętnością czy krnąbrnością, to wspomnijcie dla uspokojenia Iwonę, Kasię i dbającą o piękność swych rąk Madame Alice, której mimo wszystko życzę aby jej niepospolita córka zaćmiła kiedyś samą Bebe Daniels.

RITA REY

TRENING PRZEZ PRACĘ I SPORT

ZNACZENIE treningu polega na tem, że zwiększając powoli coraz bardziej wymagania co do wydajności pracy jakiegoś organu, zwiększamy tę wydajność tak długo, aż osiągnie się możliwie najwyższą „formę" trenującej się osoby. W ciągu każdego treningu można najpierw stwierdzić powiększenie się zręczności danej osoby, współpraca każdego z mięśni i grup mięśniowych, potrzebnych do wykonania pewnego określonego zadania, staje się lżejszą i łatwiejszą, unika się zbytecznego natężenia wynikającego z fałszywego napięcia mięśni, skurczenie względnie zwolnienie mięśnia następuje we właściwym momencie. Trenujący przez ćwiczenie nauczy się wykorzystywać siłę swych członków przy możliwie najkorzystniejszem działaniu dźwigniowem, nauczy się nie hamować, lecz przeciwnie wykorzystać odpowiednio ów rozpęd, jaki własną siłą udzielił pewnemu poruszyć się mającemu przedmiotowi, co odgrywa wielką rolę przy gimnastyce i „podrywaniu" ciężarów.

Nauczenie się chodzenia związane jest znacznie więcej z nabraniem zręczności w utrzymaniu równowagi całego ciała przy chodzeniu prosto, — niż z rozwinięciem wzmożonej siły mięśni. Przytem matka odgrywa rolę cierpliwej i wyrozumiałej trenerki, z której rąk później nauczyciel gimnastyki przejmuje młodego przyszłego sportsmena. Trening nie jest wcale wyłącznym monopolem rodzaju ludzkiego. W świecie zwierzęcym np. młode ptaszęta pobierają od starszych systematyczną naukę latania. Pod kierunkiem trenującego je człowieka konie wyścigowe dochodzą do zdumiewających rezultatów pod względem szybkości i wytrzymałości.

Człowiek wytrenowany stoi wyżej od niewytrenowanego nietylko przez to, że dzięki zwiększonej zręczności może spełnić przypadające mu zadanie z mniejszym wysiłkiem, a więc nie tak łatwo się męczy: trening wpływa też korzystnie na kształtowanie się całego ciała. Sportsmen w pełnym rozkwicie odróżnia się od bladego móla książkowego i domatora nietylko przez swą zdrową cerę i swobodne obejście; dobrze rozwinięta muskulatura w ciele, nie obciążonem wiotkim tłuszczem, pięknie sklepione piersi wskazują wymownie na to, jaki pożytek z planowych ćwiczeń odniósł człowiek zahartowany przez rozsądny trening. Wzrost masy mięśniowej, przypominającej potężne postacie słynnych bokserów, czy rzeźby greckich i rzymskich mistrzów wyobrażające Herkulesa, — wzrost ten może być bardzo potężny, bywa jednak bardzo rozmaity, zależnie od gałęzi lekkiej czy ciężkiej atletyki, do której się dana osoba trenuje. U rowerzystów nogi — w porównaniu do reszty ciała — przypominają nadmiernie rozwinięte uda żabie, — u szermierzy prawe ramię jest nieproporcjonalnie silnie rozwinięte. Bokserzy posiadają potężne ramiona i pięści. U wioślarzy rozwijają się oba ramiona, atleci dźwigający ciężary wykazują nadmierny rozrost mięśni ramienia, pleców i tułowia, jak również i muskulatury nóg, którym przypada dźwigać ciężar nietylko ciężkiego tułowia, lecz i owych znacznie cięższych jeszcze ciężarów, podnoszonych, popychanych, czy podrzucanych do góry.

Że każdy sportsmen w czasie treningu powinien wystrzegać się wszelkich podnieceń, zbyt obfitego jedzenia, przedewszystkiem zaś swego największego wroga: alkoholu, że noc przeznaczać powinien wyłącznie na sen, a nie na hulanki, że jednem słowem powinien żyć jak najpospolitszy filister, — to wszystko jest rzeczą dobrze znaną. Ciało nastawione na najwyższe wyczyny powinno podołać swemu zadaniu nawet i bez żadnych specjalnych środków podniecających, jak silna czarna kawa, czy herbata. Istnieje tylko jeden zabieg, mogący zwiększyć wydajność nawet najlepiej wytrenowanego sportowca, — to jest masaż. Już w klasycznej Grecji masowano sportowych zapaśników przed, podczas i po skończeniu ich atletycznych zapasów. Faktycznie też połączone z masażem uciskanie, gniecenie i opukiwanie zmęczonego mięśnia może wydatnie przyśpieszyć wypoczęcie i przywrócić zmniejszoną przejściowo wydajność.

Tak zwany masaż szwedzki stosuje się bokserom w przerwach między poszczególnemi rundami, długodystansowcom zaś w czasie dozwolonych pauz. Wartość tego masażu polega na tem, że wytworzone i nagromadzone w mięśniach substancje zmęczenia dostają się do krwi i dzięki krążeniu krwi usuwają się z wyczerpanych grup mięśniowych. Po usunięciu tych substancyj dopływa do zmęczonych mięśni świeża krew, przebiegające przez mięśnie naczynia krwionośne mogą się wydatnie rozszerzać, dzięki czemu pokrzepienie i wypoczęcie przychodzi znacznie prędzej. Również kąpiele i tusze działają bardzo korzystnie przy zmęczeniu mięśni, zwłaszcza w połączeniu z masażem.

Nierozsądny trening stawia sercu zbyt wielkie wymagania i może doprowadzić do osłabienia, a nawet do choroby mięśnia sercowego. Natomiast trening prowadzony fachowo, uwzględniający skrupulatnie siłę serca, obieg krwi i oddychanie, może zwiększyć zdolność pracy serca zupełnie tak samo jak zdolność pracy właściwych mięśni. A jednak czasami niektóre gałęzie sportu, wymagające wielkiego wysiłku, stawiają sercu wręcz nadzwyczajne wymagania. Po bardzo wytężającym wyścigu wioślarskim np. nawet u dobrze wytrenowanego zawodnika ilość uderzeń serca na minutę może z około normalnych sześćdziesięciu zwiększyć się do 250, a więc więcej jak czterokrotnie. Przy sercu zdrowem takie utrudnienie obiegu krwi nie trwa, coprawda, długo, — ale ów zupełnie niezwykły wysiłek wyraża się jednak w zwiększeniu się ciśnienia krwi, z którem serce musi walczyć, wytłaczając z lewej komory krew do tętnicy głównej. I tak jak mięśnie trenującego się sportowca (a tak samo i człowieka ciężko fizycznie pracującego) skutkiem wielkiego ich obciążenia przy pracy przybierają na objętości, — tak samo i mięsień sercowy, od którego wymaga się wzmożonej pracy, reaguje na to w ten sposób, że grubieją jego ściany, zwłaszcza ściana lewej komory sercowej, która wytłacza krew do aorty, głównej tętnicy całego ciała. Podczas gdy u człowieka niewytrenowanego ilość uderzeń serca na minutę zwiększa się znacznie już po średnim wysiłku mięśniowym, — to u rutynowanego robotnika lub u wytrenowanego sportowca to przyśpieszenie tętna wykazuje znacznie węższe granice i trwa znacznie krócej. W pewnych okolicznościach nawet przy bardzo przyśpieszonem tętnie czynność serca wraca już po kilku minutach do zwykłej normy.

Zawodowy przewodnik górski idzie oczywiście bez zmęczenia, nie wyjmując z ust fajeczki; tętno jego serca zwiększa się na minutę najwyżej o 10 do 15 uderzeń, — podczas gdy u idącego tą samą drogą a mniej wyćwiczonego turysty ilość uderzeń serca wzrasta o 30 do 40 na minutę. Dzięki nieustannemu ćwiczeniu, dzięki wspinaniu się po górach od wczesnej młodości, obieg krwi u takiego przewodnika dostosował się w zupełności do większych wymagań związanych z pracą wspinania się w górę. O zmęczeniu się takiego przewodnika, po wykonaniu normalnie wymaganego od niego zadania, niema wogóle mowy. Serce człowieka przyzwyczajonego do ciężkiej pracy ma się tak do serca mieszkańca wielkiego miasta, nie nawykłego do takiej pracy, — tak mniej więcej jak serce zwierzęcia żyjącego na wolności — powiedzmy dzikiej kaczki — do serca kaczki domowej, ociężałej i oswojonej w służbie człowieka: serce dzikiej kaczki będzie z reguły większe i cięższe od serca kaczki domowej.

Substancje zmęczenia, wytwarzające się w mięśniach, które muszą stale wykonywać ciężką pracę, działają na serce szkodliwie dopiero po dłuższym przeciągu czasu; przy przeciętnych wyczynach wytrenowanego sportowca niema mowy o jakiemś szkodliwem ich działaniu na serce, o ile ono jest zdrowe.

Ręka w rękę ze wzmożoną wydajnością pracy serca idzie też ułatwienie czynności oddychania.

Występowanie zmęczenia lub budzenie się uczucia zmęczenia powstrzymuje ta okoliczność, że przy planowym ostrożnym treningu ćwiczy się również wolę i chęć do wykonania pewnych wyczynów.

Szkolenie mózgu zapomocą nauki, wyrażającej się w spotęgowaniu uwagi, ćwiczeniu pamięci, zwalczaniu zmęczenia i odprężenia, nie może być pojmowane inaczej, jak trening mózgu.

Rytm przeciwdziała skutecznie zmęczeniu; dlatego to maszeruje się tak lekko w takt wesołej muzyki wojskowej. Tak samo i rytmiczne piosenki, któremi żołnierze lubią podczas wytężających marszów zagrzewać siebie i swych towarzyszy, działają podobnie, pozwalając zapominać o zmęczeniu. Znamy też pieśni prząśniczek, bednarzy, młocarzy; rytm tych piosenek ułatwia pracę i przytłumia na pewien czas uczucie zmęczenia. Muzyka rytmiczna, a nawet rytmiczne szmery bez muzyki, jak np. bębnienie, odwracają uwagę od właściwej czynności, która przez to staje się więcej odruchową, automatyczną i mniej męczącą, jak każda czynność odbywająca się bez żywego udziału świadomej uwagi.

Orzeźwiające działanie muzyki jest tak wielkie, że obecnie w Ameryce pracownicom kobiecym prócz zwyczajnych sal wypoczynkowych z wygodnemi leżakami stawia się do dyspozycji jeszcze specjalne ubikacje, w których rozbrzmiewają dźwięki muzyki tanecznej. I co ciekawe: w ubikacjach tych pełno jest par tańczących, podczas gdy wygodne leżaki podczas przerw w pracy bardzo mało są w użyciu.

Jeden to dowód więcej, jaką potęgę posiada muzyka, czemu zresztą nikt nie zaprzecza.

Dr ALFRED FROEHLICH

PLOTECZKI O MODZIE

DLA pań które przekroczyły wiek pań „bez wieku” — jest obecna moda łaskawa pod wieloma względami. Przedewszystkiem dłuższe i szersze suknie wogóle, a specjalnie wieczorem. Kołnierzyki, żaboty i pelerynki, które nietylko odświeżają ciemniejsze kolory materjałów, ale kryją niektóre braki w sylwetce. Wkońcu pewna powaga kroju sukien i okryć, bogactwo fałdów i różnorodność fasonów, wśród których łatwo dobrać indywidualnie, podczas gdy w epoce kusych i wąziutkich modeli koszulkowych wybór był trudny. Jakże często wówczas oglądaliśmy groteskowe sylwetki, których właścicielki nie wiedziały nawet o tem, jak niestosownie są ubrane.

Dziś niema obaw pod tym względem, ale są różne szczegóły, na które należy zwrócić uwagę zwłaszcza przy pewnej tuszy.

I tak — zbyt bujny biust nie znosi sutych żabotów, kołnierzy - pelerynek, obfitości fałdów, gdyż wszystko to uwydatnia jego rozmiary. Przybrania tego rodzaju powinny być zatem umiarkowane; gładki wstawiony przodzik z żorżety lub koronki korzystnie przerywa obwód biustu, zwłaszcza o ile nadamy mu owalny, wąski kształt. Szerokie przodziki są niekorzystne. Także i sam przodzik można w środku naszyć guziczkami, albo wprost zapinać na nie, co również dobrze działa optycznie. Do sukien codziennych i domowych praktyczne są jasne przodziki z kołnierzami, z materjałów do prania.

Z obcisłych staników, z kroju princesse trzeba zrezygnować, gdyż wymagają nieskazitelnej budowy. I właściwie nawet mało młodych kobiet może sobie na nie pozwolić, gdyż doskonałe proporcje ciała są rzadkością.

To samo powiedzieć trzeba o spódniczkach obcisłych na biodrach, szczelnie przylegających do ciała, o paskach w pasie, przecinających sylwetkę w sposób zbyt zdecydowany.

Szczegóły te są dobre dla wysmukłych i szczupłych kobiet; tam zaś, gdzie markuje się widocznie odrobina tuszy — należy ich unikać bezwzględnie.

Nad wyborem modelu trzeba zastanowić się poważnie i dobrze rozważyć szczegóły; niejako skonfrontować je z własną sylwetką.

Nie znaczy to, by dla pań w tym wieku konieczna była jakaś osobna moda, specjalne fasony — nie, korzystać mogą z tej, która komponowana jest dla młodych, ale równie dobrze może służyć w dojrzałym wieku.

Wszak wiemy, że niekażda młoda kobieta może sobie pozwolić na każdy model. I młode też muszą dobierać, szukać, dostosowywać i niejedno odrzucić, co się im podoba, ze względu na to, że nie jest w zgodzie z ich typem i sylwetką. Nic więc dziwnego, że i w późniejszym okresie życia muszą się liczyć z różnemi rzeczami, ale nie rezygnować nigdy z współczesnego wyglądu, z bieżącej mody.

Staniki, wogóle góra sukni, nietylko że nie może być obcisła, ale musi być nieco luźna, do czego dopomogą zakładeczki umieszczone na ramionach. One to nadadzą stanikowi lub bluzce ową pożądaną luźność, pod którą zgrabnie się skryje nadmierna tusza lub zbytnia szczupłość klatki piersiowej.

Linja w pasie nie powinna być umieszczona zbyt wysoko, ani też przylegać dokładnie; suknia musi swobodnie spływać i nie podkreślać zmian figury, nie przylegać do bioder, lecz opływać je dyskretnie.



Rys. 1. — Jesienny komplet w kolorze ciemnopopielatym. Żakiet i przybranie w jaśniejszym odcieniu



Rys. 2. — Kostjum jesienny z tweedu; kołnierz z jedwabiu, przechodzi przez zacięcia bluzy i wiąże się na kokardę



Rys. 3. — Płaszcz jesienny z drapelli granatowej, przybrany pelerynką



Rys. 4. — Wytworny płaszcz o charakterze sportowym z miękkiej, grubej wełny. Kołnierz z tego samego materjału, pojęty jako szalik



Rys. 5. — Zimowy komplet popołudniowy z dywetyny. Płaszczyk podwatowany i przybrany breitschwanzem

Czasem dobrze robi lekkie zbluzowanie sukni po bokach i wtyle; zprzodu nie jest korzystne. By uzyskać niewymuszone falowanie zbluzowania, dobrze jest dać stanik na podszewkę i nieznacznie je umocować do niej, albo też umieścić w pasie, od wewnątrz sukni, przylegającą wstążkę lub gumkę. Co komu lepiej odpowiada.

Pasek nadaje się do figur szczupłych i średnio pełnych. Tęgie muszą go unikać równo dookoła talji, przeprowadzać przez zacięcia w materjale, albo zastępować go patkami, umieszczonemi po bokach, nieco poniżej naturalnej linji stanu. Korzystne są również partje zakładek biegnące wzdłuż talji zprzodu i wtyle, które zaznaczają wprawdzie stan, lecz go wyraźnie nie markują.

Spódniczki i suknie od pasa wdół powinny rozszerzać się łagodnie, bez falban i wolantów zwłaszcza na biodrach lub w połowie sukni, gdyż to ją obciąża i przerywa linję w sposób niepożądany. Tak samo niekorzystne są odcinane bluzy przy spódniczkach, gdyż by ładnie leżeć muszą obciskać biodra. Od kloszowego kroju spódniczek i sukien odradzam serdecznie. Natomiast wolanty zdobiące dół długich toalet wieczorowych mogą być kloszowe.

Natomiast moda grecka, o fałdach równo spływających, jest bardzo korzystna. Tak samo suknie układane w fałdy i kontrafałdy. Marszczenia nie są pożądane, chyba przy nadmiernie szczupłych figurach.

Każdy wiek pozwala kobiecie być modną w miłem, szlachetnem słowa znaczeniu. Na jedno tylko żaden wiek nie pozwala: na zaniedbanie i opuszczenie się w staraniach o wygląd estetyczny, już chociażby ze względu na swoich najbliższych, oddanych i kochających. W każdej rodzinie są starsze panie, do których garniemy się z czcią, z miłością i chcemy je zawsze widzieć wytworne i staranne.

Odmawianie im prawa do modnych rzeczy, spychanie ich w cień, bagatelizowanie ich potrzeb z zakresu garderoby i pielęgnowania ciała jest nietylko zaściankowym gestem, ale i niską, bezrozumną, bezmyślną złośliwością.

Każdy człowiek, kobieta czy mężczyzna, im dalej posuwa się w lata, tem usilniej dbać musi o siebie, by nie wyróżniać się czy to niedbałem i przestarzałem ubraniem, czy też brakiem zrozumienia swych obowiązków wobec higjeny i czystości.

Rzecz jasna, że nie myślę o wyjątkach, które chcą rywalizować z podlotkami i same się ośmieszają nieodpowiedniemi toaletami lub maquillagem, ale o tych naszych drogich i miłych starszych paniach, które wypielęgnowane, pachnące czystością i starannie ubrane, roztaczają dokoła niezrównany czar. Zwłaszcza, gdy czują, że się nam podobają, że pragniemy ich obecności, że nie są nikomu ciężarem, lecz pomocą w domu i w towarzystwie.

Młode kobiety, otoczenie domowe i wogóle wszyscy młodzi powinni to zrozumieć, że często zupełnie niepotrzebnie i bezmyślnie ranią serca starszych kobiet swojemi uwagami, udowadnianiem, że to lub owo już im niepotrzebne, że mogą zostać w domu i zająć się ich dziećmi lub innemi sprawami. Mówią to egoistycznie tym, które ich same wychowały, bez spychania swoich obowiązków na cudze barki. Gorzki posmak tych chwil może odczują kiedyś później w zasłużonym rewanżu od swoich dzieci.

Zatem drogie starsze Panie, śmiało dbajcie o swój wygląd i udowadniajcie nam codzień, że istnieje wdzięk o nieprzemijającej wartości.

CAILLER — SOBAŃSKA



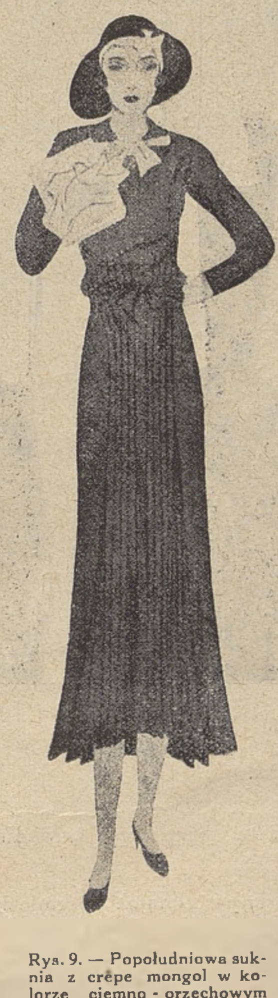
Rys. 6. — Zimowy płaszcz z czarnego sukna na watalinie! Kołnierz i mankiety z puszystego futra



Rys. 7. — Płaszcz z ciepłej wełny, przybrany astrachanem



Rys. 8. — Wieczorowa toaleta z aksamitu; bolerko z szalem



Rys. 9. — Popołudniowa suknia z crêpe mongol w kolorze ciemno - orzechowym



Rys. 10. — Wieczorowa toaleta z gołąbkowego jedwabiu. Pelerynkowy żakiecik z żorżety

MODELE MÓD

KOMPLETY JESIENNE



1123 Komplet z wełny w kratę, przybrany karakułami. Krój prosty.

1124 Komplet sportowy, przybrany stebnami. Spódniczka w kontrafałdy zprzodu i ztyłu.

1125 Kostjumik jesienny, przybrany puszystem futrem. Żakiet równy, ozdobiony stebnami. Spódniczka w kontrafałdy nakładane.

1126 Komplecik z tweedu; kołnierz duży z baranków; krój prosty. Spódniczka odcinana, z fałdem zprzodu.

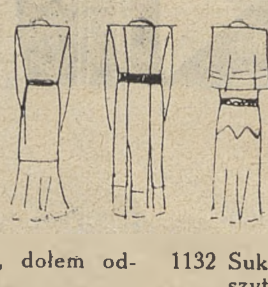
W MATERJAŁACH KRAJOWYCH WIELKI WYBÓR



1127 Prosty płaszczyk sportowy, lekko wcięty w talji. Kołnierz do zapinania pod szyję.
1128 Płaszczyk strojniejszy, przybrany barankiem, lekko wcięty. Karczek odcinany, ztyłu ostro zakończony.
1129 Płaszczyk z tweedu, przybrany skunksami.
1130 Gładki płaszczyk przybrany kołnierzykiem z gronostajów, ozdobiony stebnami.

SZLACHETNE WEŁNY SĄ CHLUBĄ NASZEGO KRAJOWEGO PRZEMYSŁU





1131 Sukienka krojem prostym, kołnierzyk angielski, dołem odcięty klosz. Przybrana guzikami.

1132 Suknia płaszczykowa; kołnierz angielski, kontrafałdy zaszyte zprzodu i ztyłu, dołem rozpuszczone.

1133 Suknia płaszczykowa; kołnierzyk fantazyjny z białej piki i guziczki. Ztyłu małe bolerko. Odcinana spódniczka, lekko skłoszowana, zprzodu zaprasowany kontrafałd.

TWEEDY KRAJOWE ZADOWOLĄ NAJWYBREDNIEJSZE ELEGANTKI



1134 Czarna suknia z króciutkiem bolerkiem z crêpe satin. Kamizelka, kwiat i wolanty u rękawów z białej żorżety. Spódniczka z ciętych kloszów, falujących swobodnie, a po bokach przechodzących w górze w zakładeczki.

1135 Granatowa suknia z bolerkiem do zdejmowania. Bolerko ozdobione jedwabiem w odmiennym kolorze. (Może być pepita biało-granatowa.) Na spódniczce szereg wstawianych kloszów.



1136 Skromna suknia wizytowa. Góra gładka z białym kołnierzykiem. Spódniczka przybrana skośnie biegnącą falbaną.

1137 Suknia z żorżety. Kołnierzyk i duże mankiety z drobniutkich walensjenek. Spódniczka fantazyjnie górą pozacinana, dołem bogato skloszowana.

ŻĄDAJMY WSZĘDZIE
WYROBÓW KRAJOWYCH

HAFT NA PŁÓTNIE

BYŁO TO DAWNO, dawno temu. Nad światem roztaczało się jeszcze pogodne niebo legendy, kiedy Atene rzuciła przed oczy młodej ludzkości — gładkie, chłodne zwoje płótna.

Taki był podobno początek tkactwa. A niedługo potem, fantazja ludzka zaroiła skromne tło płótna bogactwem linij rytmicznych i powstał haft. Odtąd wije się nić haftu na płótnie barwnie i rozmaicie. Każdy naród inaczej tłumaczy istotę swą — szeregiem milczących, ale wymownych znaków i ściegów.

Egipt dał nam haft krzyżykowy. Na prostej kratce splotów płóciennych, łamana linja krzyżyków tłumaczy nam jasno i dobitnie co to jest geometrja. Paski lniane i konopne, ozdobione haftem krzyżykowym, opasywały mumje w głębi piramid złożone.



Rys. 1

Późniejsza sztuka egipska, kojarząc elementy syryjskie, greckie i egipskie, dała nam tkaniny i hafty koptyjskie. Były one początkiem starochrześcijańskiej sztuki haftarskiej i zachowały się do dzisiaj, ubogie w kolorze, bogate ornamentem roślinnym i zwierzęcym, wykonanym techniką gobelinową na płótnie (rys. 1).

Wschód w swem zamiłowaniu do przepychu ukrywał skromne tło płótna pod wzorem płaszczyznowym, haftowanym jedwabiem i złotem. Gdzieniegdzie tylko, np. w Arabji powstał i dochował się haft dwukolorowy, przeważnie czerwono-niebieski, z użyciem tła jako części ornamentu.

W Europie nauczono się haftu na płótnie, za pośrednictwem wysp greckich. Pierwsze warsztaty haftarskie stanęły we Włoszech i tam także zakładano płótno bogatym ornamentem jedwabnym i złotym, dodając nową technikę, mianowicie ścieg mereżkowy. Najstarsze zachowane hafty europejskie na płótnie pochodzą z XV wieku.

Z Włoch przywędrowała sztuka haftu do Francji i Niemiec. Obok jedwabiu pozostaje płótno nadal wdzięcznem tłem dla haftu, niemniej skrzętnie ukrytem. Dopiero kraje słowiańskie okazały lepsze poczucie stylu. W haftach słowiańskich nie znika płótno pod bogatym wzorem. Wraz z ornamentem wyprowadzonym kolorową przędzą, stanowi jedną harmonijną całość.

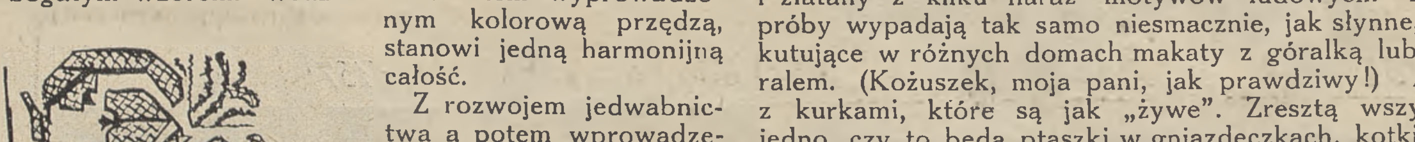
Z rozwojem jedwabnictwa a potem wprowadzeniem tkanin bawełnianych, płótno traci swe szerokie zastosowanie. Haft na płótnie przechodzi do ludu i staje się wspaniałą oryginalną sztuką (rys. 2, 3, 4). Sztuką, która za naszych dni i w naszych oczach umiera, zabijana fabryczną tandetą i brakiem potrzeby u społeczeństwa, zarówno miejskiego jak i wiejskiego. Przynajmniej tak jest u nas w Polsce. Bo inny prąd jest w Czechach i inny w Jugosławji, gdzie z pomocą rządu i społeczeństwa ludowa sztuka haftarska rozwija się coraz piękniej. Także Niemcy, z właściwym sobie komiwojażerskim talentem, propagują modę haftu na płótnie i to nietylko u ludu, lecz wśród najszerszych warstw. Czynią to zapewne w słusznem zrozumieniu wartości dekoratywnej płótna, dostosowanej swą prostotą do bezpretensjonalnych, dzisiejszych wnętrz.

Oto przypatrzmy się. Kolorowy, płócienny obrus z białym haftem, spłynie w spokojnych, trochę sztywnych fałdach z kanciastej powierzchni stołu. Owdzie na bufecie, haftowana ścieżka z niebielonego płótna, podniesie blask subtelnie barwionego szkła. Na jakiejś przepaścistej kanapie lub niziuchnym tapczanie, poduszki z płótna otulą nas chłodnem dotknięciem. Są czyste, piorą się łatwo i nie ciąży na nich zaklęcie drogiej ceny wraz — z wieloletnim kurzem. A płócienna portjera (zamiast pluszowej) owionie nas świeżym zapachem rzeczy dobrze wypranej.

Zapewne, nie nada się haft na płótnie do wnętrz pełnych fałszywych bronzów, przesadnych złoceń i imitacyj stylu. Ale roztoczyć może swój urok w każdem środowisku, którem rządzi wytworny gust. Nietylko wśród trzcinowych, czy pseudozakopiańskich mebli.

Jedną zaletę posiada płótno użyte jako tło do haftu. Daje szerokie możliwości w wyborze techniki zdobienia. Od najprostszego ściegu krzyżykowego czy łańcuszkowego, do najmisterniejszych ażurów.

Natomiast dobór wzoru jest raczej trudny i wymaga naprawdę odczucia stylu. Styl haftu na płótnie powinien być wzorowany (nie kopjowany) na stylu ludowym. Nie znaczy to, że wzór musi być koniecznie jaskrawy i złatany z kilku naraz motywów ludowych. Takie próby wypadają tak samo niesmacznie, jak słynne, pokutujące w różnych domach makaty z góralką lub góralem. (Kożuszek, moja pani, jak prawdziwy!) Albo z kurkami, które są jak „żywe". Zresztą wszystko jedno, czy to będą ptaszki w gniazdeczkach, kotki czy



Rys. 2

pieski, czy wreszcie maki lub rumianki. Każdy taki naturalistyczny wzór musi razić dobry smak swoją fałszywą, robioną naiwnością, która z prostotą nie ma nic wspólnego.

Wzór haftu na płótnie musi być świadomie prymitywny. Jeśli haftujemy kwiat, liść, niech to nie będzie kolorowa fotografja, lecz najprostszy symbol kwiatu lub liścia. Tak jak to czyni hafciarka ludowa, której obca jest sztuka rysunku z natury. Natura jest jej nie wzorem, lecz natchnieniem i haftując kwiat nie kopjuje go żywcem, tylko kreśli barwną nitką swoje wyobrażenie o nim.

Nie musimy jednak trzymać się niewolniczo ornamentu roślinnego. Wszystkie wzorki geometryczne, z kresek, kółek, czy kwadratów, w kolorach żywych, lecz harmonijnie zestawionych, będą również właściwym tematem do haftu na płótnie (rys. 5). Także w linjach prostych, groteskowo ujęte postacie ludzkie lub zwierzęce, obwiedzione tylko kolorowym konturem ściegu wodnego, mogą dać motyw oryginalny i piękny (rys. 6). Tu trzeba jednak bystrej uwagi i pewnej ręki artysty-rysownika, — aby nie popaść w szablon lub śmieszną naiwność.



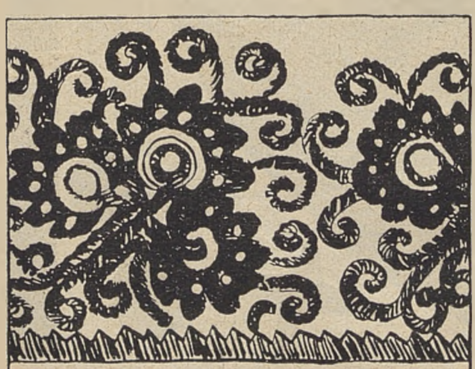
Rys. 3

Dobór nici do haftu na płótnie jest bardzo łatwy. Nadają się: kolorowe i białe, bawełna, przędza i włóczka. Nie nadają się: jedwab prawdziwy i sztuczny oraz szych. Dobór ten jest dlatego łatwy, bo logiczny i do istoty płótna dostosowany.

Możemy więc tanim kosztem ozdobić dom nasz, sporządzając z płótna przedmioty codziennego użytku, jak obrusy, serwetki, poduszki, portjery. Musimy jednak pamiętać o tem, że mniej wstydu przyniesie nam czysta, na sympatyczny kolor pomalowana ściana, lub gładka powierzchnia stołu, jak rozwieszone czy rozłożone niegustowne robótki.

A zwłaszcza wszystkie makatki z naturalistyczną fauną, florą i etnografją, radzę w imię estetyki — popruć i użyć na ścierki. Ścierek w gospodarstwie niema nigdy za wiele, natomiast makat bywa aż do uprzykrzenia i jeszcze trochę więcej.

JANINA OSIŃSKA



Rys. 4



Rys. 5



Rys. 6



Rys. 323

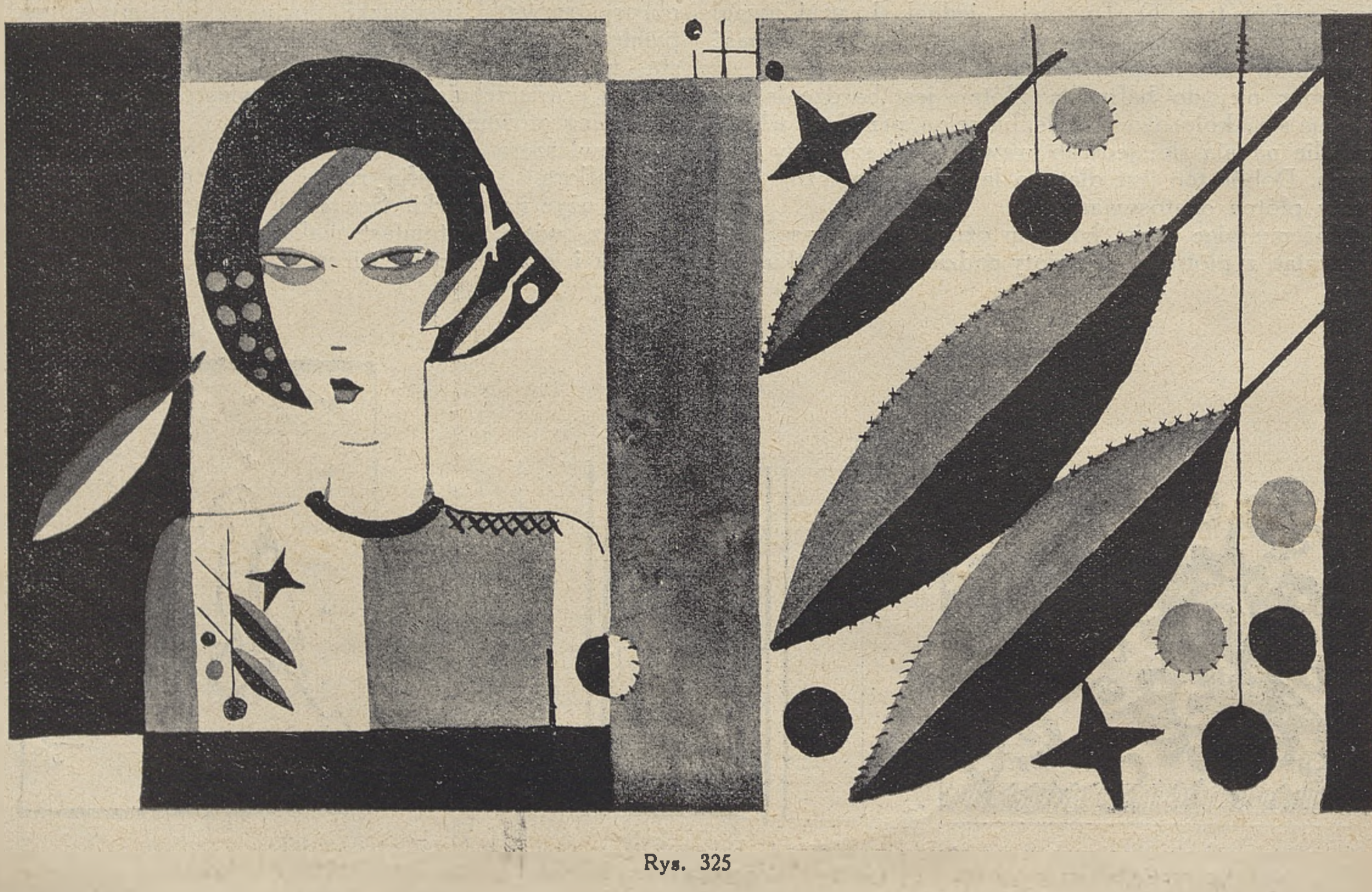
Rys. 323. — SERWETA wykonana aplikacją na czarnem suknie. *Proj. Józef Babiak*

Rys. 324. — TOREBKA I PASEK aplikowane skórą w dwóch kolorach (biały i czarny, biały i niebieski). Można je wykonać również w filcu. *Proj. J. W.*

Rys. 325. — MOTYW do zdobienia kapeluszy, sukien, kamizelek i t. p. Aplikacja z filcu w kolorach blado-różowym, popielatym i czarnym. *Proj. Ida Hölzlowa*

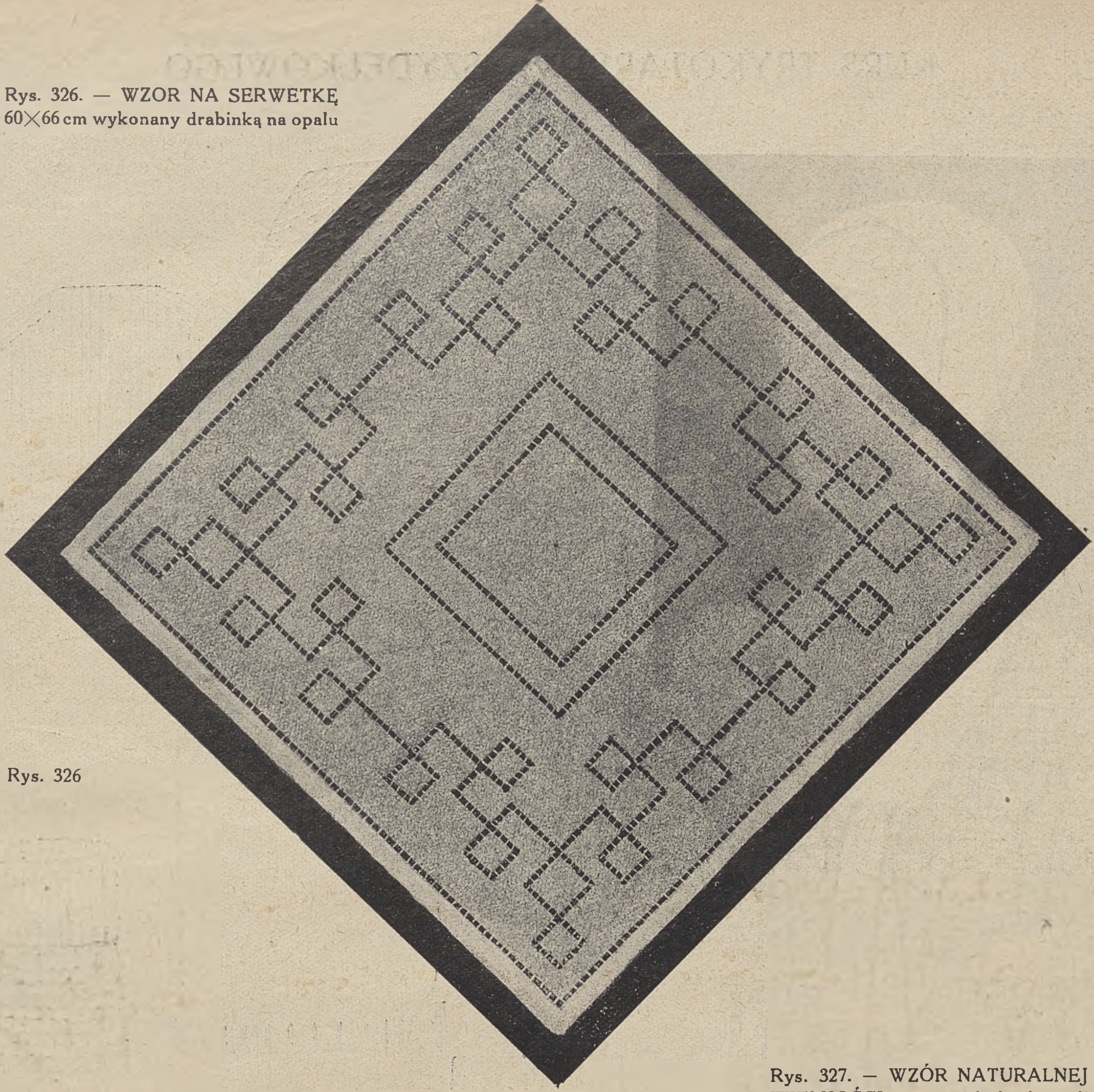


Rys. 324



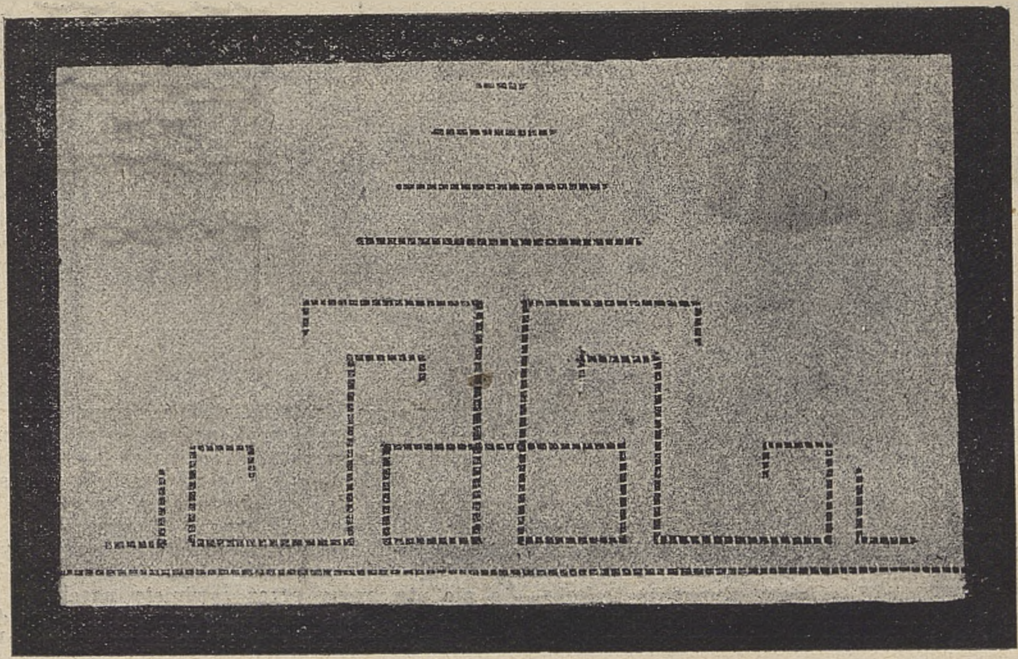
Rys. 325

Rys. 326. — WZOR NA SERWETKĘ 60×66 cm wykonany drabinką na opalu



Rys. 326

Rys. 327. — WZÓR NATURALNEJ WIELKOŚCI na przód do koszuli damskiej



Rys. 327

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO



TRYKOTAŻE

Na drutach albo szydełkiem można wykonać tę modną bluzkę ze stosowną czapeczką, Rys. 63 pokazuje ścieg trykotowy; są to rzędy gładkich oczek, które przez obracanie roboty po każdym rzędzie są raz gładkie, raz nawywrót. Przerywa się je wzorem, składającym się z prostokącików przestawionych, z oczek nawywrót. Rys. 64 przedstawia robotę szydełkową. Rzędy słupków są tu przerwane grupami słupków zawijanych, których wykonania uczyliśmy w dawniejszej części kursu.

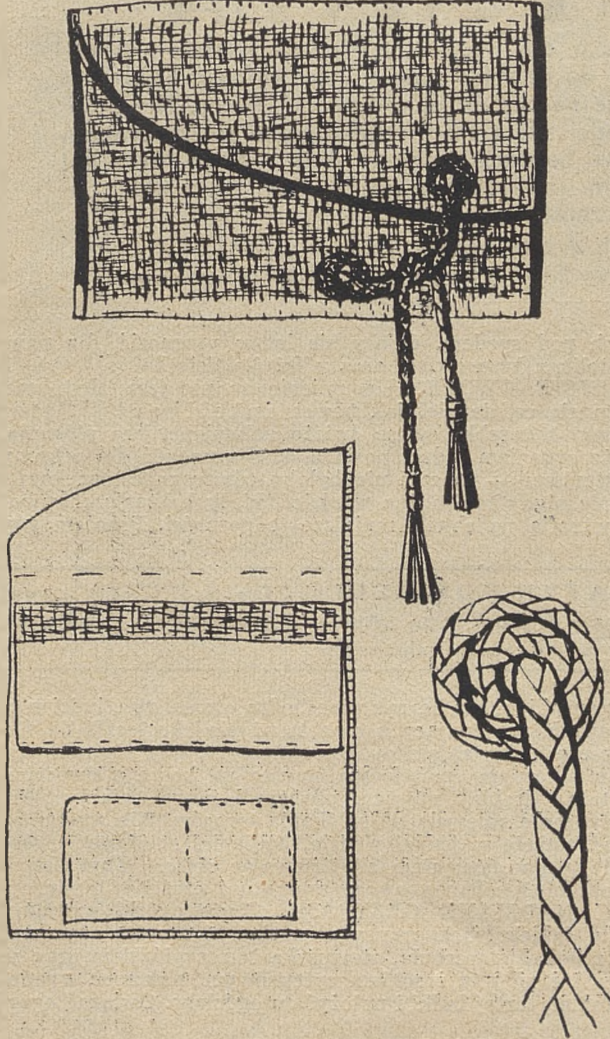
Taksamo można bluzkę wykonać ściegiem ażurowym trykotowym na drutach, albo szydełkiem. Krój bluzki szkicują rys. III i IV. Dolny brzeg bluzki i rękawów zakończony ściegiem patentowym na drutach, albo ściegiem gufrowanym szydełkiem. Ten ostatni trzeba wykonać na ostatku, wpoprzek roboty. Na wiązany kołnierzyk robi się pasek szerokości 10 cm a długości 115 cm. Wykonany na naszym modelu tym samym ściegiem, co cała bluzka, ale bez prostokątów, względnie grup słupków, podobnie jak mankieciki rys. V i czapeczka, z białej włóczki.

Krój czapeczki przedstawiony na rys. I, wykonany szydełkiem, podobnie jak czapeczka z nru 16, ~~tylko tu brzeg jest zeszyty,~~ a nie utworzony przez zawinięty pasek.

Rys. II przedstawia czapeczkę robioną na drutach, jeszcze bez wyłogu, który robi się osobno i przyszywa jak na rys. I.

Z. KULCZYCKA





KĄCIK PRAKTYCZNY

Z TWEEDU

Jak naszym Czytelniczkom wiadomo, bardzo modne są obecnie berety i kapelusze z materjału sukni, albo z kostjumu, czy też z płaszcza. Podajemy więc 2 berety; jeden skrojony z jednego kawałka i pomysłowo ułożony przez wykonanie odpowiednich wszytek, oraz szwów. Fazy powstawania beretu pokazują rysunki; rys. 1 przedstawia rozłożony materjał, rys. 2 ma już odszyte wszytki, na rys. 3 wykonano już szwy, zaś na rys. 4 paseczek już zszyty i przyszyty do dolnego brzegu beretu. Dla umocnienia obwodu wszywa się pasek płótna, całą zaś czapeczkę podszywa się lekko. Na tej podszeweczce można niewidocznie przytwierdzić materjał w ten sposób, w jaki nam najlepiej do twarzy.

Drugi beret skrojony z części, nie przedstawia trudności w wykonaniu. Nadaje się najbardziej dla młodych panienek, gdy tymczasem pierwszy da się także poważniej ułożyć.

Torebka stonowana z ubraniem, oto hasło mody. Na pozór bardzo kosztowny wybryk, bo prawie ile sukien, tyle torebek. Ale zaniepokojenie mija, skoro dowiemy się, że torebki te można własnoręcznie sporządzić z materjału sukni czy kostjumu. Podajemy więc torebkę kopertową, oryginalnie zamkniętą. Szkic rozłożonej torebki uwidocznia wewnętrzne przedziałki, względnie schowki, wykonane z podszewki. Po złożeniu lamuje się brzegi stosowną skórką, luźne zaś zapięcie, wystarczające wobec tego, że torebkę nosi się w ręce, stanowią dwa plecione sznureczki ze skórki, zakończone kutasikami. Sposób przytwierdzenia tych sznurków uwidoczniony na rysunku.

Z. KULCZYCKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

UTRZYMANIE PORZĄDKU. Ciasne i niewygodnie urządzone mieszkania bez dodatkowych ubikacyj jak łazienka, pokoik dla służącej, spiżarnia i jakiś kąt na przechowywanie rzadko używanych sprzętów, utrudniają ogromnie utrzymanie wzorowego porządku. A natury pasywne rezygnują wreszcie i zaprzestają walki z wiecznym nieładem. Jest jednakowoż rada i na to. Przedewszystkiem należy ciasne mieszkanie uwolnić od wszelkich zbytecznych sprzętów i pseudo-ozdób. Niepraktyczne meble można uprościć albo przerobić. Ale nie zawsze pochodzi nieporządek od nadmiaru sprzętów. Często właśnie brak odpowiednich schowków przyczynia się do nieporządku. Gdy każda


Kawa słodowa Kneippa - dla dziecka najzdrowszy napój!
1026

rzecz będzie miała swoje miejsce ustalone, porządek da się łatwo utrzymać. Nie znaczy to, że trzeba sprawić nowe sprzęty, na które budżet niezawsze pozwala. Często można istniejące meble praktyczniej urządzić. W szafach np. mamy nieraz mało półek rzadko umieszczonych. Przez dodanie 1—2 albo nawet 3 półek zyskamy dużo miejsca. Na tych półkach znowuż z łatwością utrzymamy porządek, jeśli drobne przedmioty przechowamy

Aktualne uwagi o włosach

Omawiając wpływ słońca na włosy, uwzględnić należy odrębne jego działanie na włosy, tudzież na skórę głowy, w której usadowione są korzonki włosów. Na włosy działają promienie słońca z reguły ujemnie. Płowienie, przedwczesna siwizna, łamliwość oto następstwa naświetlania słońcem. Wpływ zaś na skórę głowy może być niszczący lub zbawienny, zależnie od prawidłowego stanu, względnie chorobowego skóry. Do schorzeń zaliczyć należy minimalne nawet zmiany łojotokowe, w postaci łupieżu lub tłustej miazgi. Skóra taka, zadrażniona kwasami tłuszczowemi, ulega zgubnym dla korzonków zmianom zapalnym, jeśli bywa naświetlana. Przekrwienie zaś słońcem zdrowej skóry działa nawet zagęszczająco. O tem pamiętać powinni mężczyźni, którzy strzygą w lecie włosy. Przerzedzone włosy zagęszczają się, jeśli po wyleczeniu schorzeń, udostępni się strzyżeniem naświetlanie skóry słońcem. Kto nie może zasięgnąć porady u lekarza-specjalisty, niechaj zobojętnia kwasy tłuszczowe dwukrotnem myciem tygodniowo Shampoonem Dra Lustra, strzyże włosy krótko a skórę naświetla słońcem. Ponieważ w lecie łatwo jełczeje tłuszcz na głowie, powinny kobiety myć często tym lekarskim preparatem głowę, celem zapobieżenia marnieniu włosów.

1108 Dr. Z. B.

ciem, można umieścić półki nawet pod sam sufit, bo i tak zazwyczaj chowa się w niej pokojową drabinę.

Każdy członek rodziny powinien posiadać swój kąt, w którym może przechowywać drobne przedmioty codziennego użytku. Bo jakże przyzwyczaić dzieci i — pana domu — do porządku, jeśli ich zabawki, przybory do palenia i t. p. zawadzają stale i są odkładane z kąta w kąt albo nie mają dla siebie innego miejsca, jak stół w jadalni, z którego sprząta się to wszystko przed każdym posiłkiem! Tego rodzaju codzienna walka może słusznie rozdrażnić panią domu jak i członków rodziny. Ale żadna strona nie ponosi winy, tylko brak sprzętu albo kąta dla każdego zosobna. Codzienne te niesnaski może usunąć praktyczny stolik o kil-

Opaloną zdrową cerę

posiada każdy, kto przed kąpielami słoneczemi i powietrznemi do natarcia skóry używa

KREM NIVEA



Czynić to należy również w dni pochmurne, ponieważ wiatr i świeże powietrze przyczyniają się do opalenia skóry. Ciało winno jednakże być *suche*, jeśli wystawia się je na bezpośrednie działanie słońca. Nie zapominajmy o *poprzedniem* natarciu kremem Nivea, w ten sposób bowiem usuwamy niebezpieczeństwo bolesnego spalenia skóry. Krem Nivea jest jedynym kremem, zawierającym euceryt. Na tem właśnie polega jego skuteczność.

Pudełka po zł 0.40 do 2.60 Tubki po zł. 1.35 i 2.25

Wyrób krajowy firmy PEBECO, sp. z o. odp. w Katowicach

w pudełkach, sortując każdy rodzaj osobno, np. osobno rękawiczki, osobno krawaty, osobno paski i t. p. W szufladach porządek zwykle niedługo się utrzymuje. Tu leżą przedmioty najczęściej warstwami, a szukając pośpiesznie czegoś, przewracamy zazwyczaj wszystko. Zapobieży temu podzielenie szuflad na

O ZAWARTOŚCI JODU W RYBACH. Dyrektor naukowego laboratorjum norweskiego przemysłu konserwowego, dr. Gulbrand Lunde, przeprowadził cenne doświadczenia nad zawartością jodu w rybach. Stwierdził mianowicie w sposób niewątpliwy, że ryby norweskie zarówno świeże jak i zakonserwowane zawierają bardzo wielką ilość jodu. Następnie wykazał, iż odżywianie się rybami skutecznie zapobiega schorzeniu gruczołu tarczykowego, w tych mianowicie okolicach, w których ta choroba występuje. Wspomniane odkrycia mają wielkie znaczenie dla przemysłu konserw rybnych.

przedziałki, co bardzo łatwo można wykonać bez większych kosztów. Tak samo niedrogie są półki, które można zasłonić tanią firaneczką. We własnym domu, o grubych murach, można wybić wnęki, które mogą dostarczyć schowków. Za granicą widuje się zaszalowane i zamknięte na drzwiczki wnęki umieszczone w kuchni pod oknem i służące jako mała spiżarnia. Czasem ktoś zręczny potrafi sporządzić doskonałe schowki z paczek. Stół kuchenny może mieć pod płytą półki, albo nawet szafkę, wszystkie zaś stoły można zaopatrzyć w duże szuflady podzielone na działki.

W łazience, zamienionej często na graciarnię i odstraszającej od kąpieli z powodu długotrwałego sprzątania wanny przed uży-

ku półkach pod spodem, dający się łatwo przenosić, dla pana domu, i stolik z krzesełkiem oraz półki dla dziecka.

SPŁÓKUJCIE OWOCE! Upomnienie to nie jest zbyteczne, gdyż widzi się codziennie, jak nawet inteligentni ludzie jedzą prosto z torebki owoce świeżo zakupione, bez płókania. Prawda, że organizm ludzki posiada dużo urządzeń dla ochrony przed bakterjami — inaczej nie byłoby zdrowego człowieka na ziemi — ale nigdy nie można wiedzieć, kiedy bakterje chorobotwórcze natrafią na chwilę mniejszej odporności. Pozatem gdy

MAGAZYN POŚCIELI pod fmą R. DRZAŁA, Lwów, Chorążczyzna 5 (obok kina „Apollo"), poleca kołdry, materace płótna i t. p. po cenach najniższych 1027

się tylko pomyśli, przez ile rąk przechodzą owoce, ręce ludzi niecywilizowanych, nie znających czasem użycia chusteczki do nosa, a tacy często zrywają i opakowują owoce, gdy się rozważy, że z pyłem ulicznym spadającym zawsze na kosze z owocami, osiadają także drobiny nawozu, plwocin i innych nieczystości, samo obrzydzenie zniewala do spłókania owoców. Nie wystarcza jednakowoż zmycie w jednej wodzie. Najlepiej spłókiwać owoce na cedzidle pod wodociągiem albo zlewając obficie. Zbyt długotrwałe moczenie pozbawia owoce aromatu i części witamin.

OGÓRKI NADZIANE GRZYBAMI. Duże ogórki wydrążyć po ubraniu. Jakiekolwiek grzyby posatkować drobno, zasmażyć na maśle z posiekaną cebulą, pietruszką i szczypiórkiem oraz ze szczyptą soli i pieprzu i sokiem cytrynowym, nakoniec wymieszać z odrobiną tartej bułki i nałożyć do ogórków. Owiązać ogór-



Luksus pielęgnowania Pixavonem jest obecnie dostępny dla każdego przez Shampoon

Pixavon-Shampoon

posiada wszelkie zalety płynnego Pixavonu.

1. Nie zawiera zupełnie sody
2. daje pełnę miękką pianę
3. nadaje włosom zapach, połysk i puszystość

Paczuszka wystarcza na dwa razy i kosztuje tylko

50 groszy.

1119

ki grubą nitką i dusić w rosole z mięsa, albo z jarzyn, z dodatkiem masła i korzeni. Gdy ogórki miękkie, zaprawić sos śmietaną z odrobiną mąki i soku cytrynowego.

Rostbef po myśliwsku. Pokrajać kilka płatków mięsa, ubić, posolić i z jednej strony zamaczać w mące. Usmażyć szybko i wyjąć na półmisek. Do pozostałego w brytwannie tłuszczu dać posiekaną cebulę, łyżkę kaparków posiekanych i skórki cytrynowej drobno pokrajanej. Przysmażyć wszystko, nakoniec popudrować mąką i rozprowadzić rosołem albo wodą. Rostbeafy włożyć z powrotem do sosu, który powinien je pokryć, dodać ½ kwaterki czerwonego wina i dusić pod pokryciem przez godzinę.

IDEALNA PASTA DO ZĘBÓW

KREM PERŁOWY

1112 IHNATOWICZ LWÓW

TOWAROZNAWSTWO

Trudniej poznać kmin, roślinę należącą również do baldaszkowych. Rośnie dziko albo hodowany w ogrodach i można go poznać po charakterystycznym zapachu ziarenek.

Pasternaku używamy jako przyprawy albo jako jarzyny; u nas rzadziej, aniżeli za granicą.

Pory podobne do cebuli mają jednakowoż łagodniejszy smak i dostarczają nietylko przyprawy, ale także jarzyny. Przy kupnie należy uważać, żeby zgrubienie korzenia było dobrze rozwinięte, zaś dolna część łodygi biała i nie łykowata, gdyż nie odrzuca się jej, tylko spożywa razem z korzeniem.

Szalotki są to rośliny cebulkowate o delikatnym smaku. Trudno je odróżnić od młodej cebuli, której kształt jest bardziej okrągły.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelniczkom, że do numeru 24 „Świata Kobiecego" z 1929 r. dołączyliśmy cennik nakryć i przyborów stołowych firmy „Stylplater", Zakopane, ul. Zamojskiego.

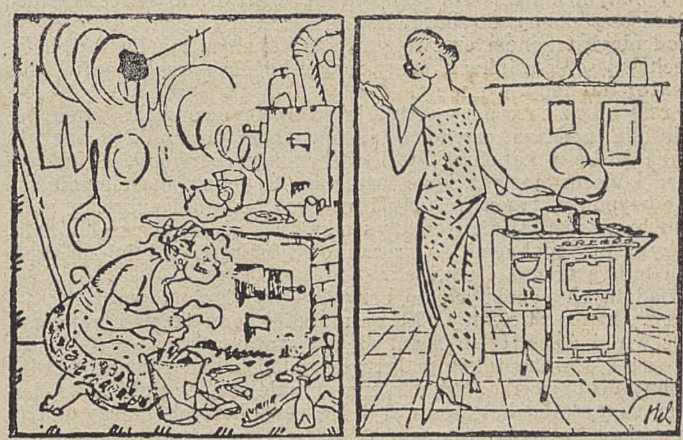
Ze względu na polecenia godne artykuły wymienionej firmy, radzimy raz jeszcze cennik ten przestudjować.

Cebulę uprawia się w różnych odmianach. Istnieją gatunki białe, czerwone, liljowe i żółte. Te ostatnie są najpospolitsze. Białe cebule mają najdelikatniejszy smak. Duże cebule są mniej ostre od drobnych, gdyż zawierają więcej soku, wskutek czego ulegają też prędzej zepsuciu. Bardzo duże gatunki są raczej używane jako jarzyna niż jako przyprawa. Najlepsze są gatunki średniej wielkości. Cebula przeznaczona do przechowania powinna być zupełnie dojrzała, t. j. pokryta kilkoma warstwami suchych łusek i starannie wysuszona. Plamy są zazwyczaj początkiem psucia się.

Czosnek również z rodziny cebulowatych ma inne listki, nietworzące trąbek, tylko twarde i płaskie, po czem można odróżnić młody czosnek od młodej cebuli. Przy dalszym rozwoju odróżnienie jest łatwe, gdyż korzeń czosnku składa się z licznych ząbków. Czosnek przeznaczony do przechowania musi być dobrze wykształcony i wysuszony. W tym celu wiesza się go do komina, co również zapobiega zbyt szybkiemu kiełkowaniu. Niedokształcone ząbki zasychają i są niezdatne do użycia.

Szczypiórek czyli trybulka, ulubiona przyprawa o łagodnym smaku należy również do roślin cebulkowatych.

GOTUJCIE NA GAZIE



WĘGIEL GAZ 1035

„Ach, jaki dziś znów upał"!

Oto westchnienie, które się tak często słyszy podczas panujących obecnie upalnych dni. Aby nie odczuwać nadmiernie tych trudnych do zniesienia upałów, prawie każdy ubiera się lekko i przewiewnie. Zwłaszcza kobiety. Mało kto jednak myśli o tem, że przyjemne lekkie ubrania letnie mogą być również powodem przykrych niespodzianek. Każdy chłodniejszy wiaterek — tak mile witany w tej gorącej porze roku — przeważnie już wystarcza, aby spowodować zaziębienie. A potem zwykle dziwimy się: „gdzie też mogłem się zaziębić".

I chociaż wypróbowane tabletki Aspiryny są w stanie istniejące zaziębienie szybko i niezawodnie zwalczyć, to jednak bezwątpienia lepszem jest postępowanie zapobiegawcze. Zapobieganie powinno w danym przypadku polegać na tem, aby również i latem zażywać co pewien czas pastylkę Panflaviny. Pastylki Panflaviny mają smak podobny do czekolady, przeżuwa się je w ustach aż się powoli rozpuszczą. W ten sposób osiąga się skuteczne odkażenie jamy ustnej, chroniące w znacznym stopniu przed zarażeniem się. Z tego względu również i latem powinniśmy stale mieć przy sobie pastylki Panflaviny, które można nabyć w każdej aptece.

Cząber jest to roślina jednoroczna, służąca jako przyprawa do dziczyzny albo do zielonej fasolki. Listki ma małe podłużne i aromatyczne, ciemnozielone, osadzone na długich cienkich i sztywnych łodygach.

Majeranek należący również do przypraw ma listki podobne ale krótsze, cała zaś roślinka jest niższa. Uprawia się ją w ogrodach podobnie jak cząber.

Tymianek, albo macierzanka, służy jak poprzednie dwie rośliny jako przyprawa do dziczyzny i kiełbas. Rośnie dziko i odznacza się aromatycznemi drobnemi listkami i różowawo-liljowem kwieciem.

Grzyby. Duże podobieństwo niektórych grzybów trujących do grzybów jadalnych powoduje co roku liczne zatrucia. Dlatego powinna każda gospodyni zaznajomić się dokładnie z cechami tak jednych jak i drugich, gdyż sprzedawane na targach nie zawsze pewne, a na znawstwo grzybów zbierających wieśniaczek spuścić się nie można. Ale nietylko grzyby trujące są niebezpieczne dla zdrowia. Także grzyby jadalne nadpsute albo nieświeże mogą wywołać objawy zatrucia z powodu szybko następującego rozkładu białka.

Na tem miejscu nie możemy wchodzić w szczegóły botaniczne i wymienimy tylko cechy najważniejszych i najczęściej jadanych grzybów, choć u nas rośnie o wiele więcej gatunków grzybów jadalnych, niż widzimy na targu.

Grzyby rozpoznajemy głównie podług cech trzonka i kapelusza. Na spodzie kapelusza znajdują się bądźto blaszki, bądź cewinki, t. j. drobniutkie rurki. Inne znów rosną pod ziemią, są to t. zw. rdzeniaki, nie posiadające trzona ani kapelusza.

Z grzybów cewinkowych najsmaczniejszy jest:

Borowik albo grzyb prawdziwy. Istnieje kilka odmian podobnych do siebie. Trzon borowika jest biały albo jasno kasztanowaty, jędrny i dość gruby. Kapelusz pokryty skórką łatwo ściągalną, barwy brunatnej jasnej lub ciemnej, ma pod spodem cewinki, które w stanie młodym są białe, zaś później żółtawe albo zielonawe. Miąższ jest biały, jędrny i nie zmienia barwy po przełamaniu albo przekrojeniu. Podobny do borowika jest:

Grabiak, który posiada trzon dość gruby i duży, zakończony małym kapeluszem jasno bronzowym o białych cewinkach.

Bardzo podobny do borowika jest trujący szatan. Różni się od niego trzonem czerwonym, zaś kapelusz ma barwę bladoorzechową o cewinkach czerwonawych. Po przełamaniu albo przekrojeniu miąższ sinieje.

Grzyb czerwony istnieje w dwu gatunkach; jeden pojawia się podczas całego lata, ma trzon wysmukły, pokryty ciemną łuską i kapelusz niezbyt wypukły czerwony. Drugi rośnie z końcem sierpnia i we wrześniu. Kapelusz ma ciemniejszy silnie wypukły, trzon krótszy i grubszy, cewinki szare, u starszych bronzowe. Miąższ obydwu odmian sinieje po przełamaniu, co czyni je podobnemi do szatana, od którego różnią się czerwoną barwą trzona i cewinek.

Z jadalnych podobnych do borowika wymienimy jeszcze:

Grzyb pastewny, który ma czerwony trzon i kapelusz, zaś cewinki żółte, czem różni się od szatana.

Kozak, zwany także podgrzybek albo babka również bardzo podobny do borowika. Trzonki ma smuklejsze, cewinki żółte, kapelusz szary albo kasztanowaty. Do cewinkowych należy także:

maślak o lepkim kapeluszu barwy brunatnej o cewinkach żółtych ciemniejących zczasem. Miąższ jest miękki a nawet gąbczasty, trzon żółty opatrzony w kołnierz. Łatwo zamienić z maślakiem można trujący:

grzyb pieprzowy, który różni się od niego ciemnemi cewinkami, trzonem czerwonym i kapeluszem pokrytym żółtą skórką nieściągalną. Podobny do maślaka:

żółty grzyb, zwany także jajecznikiem, ma trzon brunatnawy cienki, zaś kapelusz wklęsły. Miąższ miękki, gąbczasty.

Z powyższych uwag wynika, że grzyby cewinkowe trujące posiadają trzon czerwonawy, cewinki ciemne, czasem czerwone, miąższ siniejący po przełamaniu, najczęściej niemiłą woń. Wyjątek stanowi grzyb czerwony, którego miąższ sinieje również, mimo że nie jest trujący.

Grzyby mające pod spodem kapelusza blaszki zamiast cewinek należą do rodziny bedłek. Niektóre bedłki mają w stanie młodym błonkę, łączącą brzeg kapelusza z nasadą trzona. Nazywamy je pochwiakami. Do nich należą muchomory. Gdy grzyb dorasta, błonka pęka a część jej pozostaje widoczna u nasady trzonka. U innych błonka pokrywa tylko spodnią część kapelusza i po pęknięciu tworzy u góry trzonka rodzaj kołnierza. Grzyby te nazywamy kołnierzakami.

Czerwoność skóry, rąk i twarzy usuwa niezawodnie śnieżnobiały krem Leodor, który nadaje cerze matowy odcień, tak charakterystyczny u pięknych i wytwornych pań. Specjalną zaletą tego kremu jest również to, że nadaje się równocześnie jako doskonały podkład pod puder. Perfuma kremu Leodor przypomina zapach świeżo zerwanego bukietu fiołków, bzu, róż i konwalji. Ulubione te zapachy są w cudownej harmonji zawarte w kremie Leodor.

Do nabycia w perfumerjach i droguerjach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

MŁODA MATKA. — Jesteśmy zdania, że obrała Pani najgorszą metodę wychowawczą, a zarzuty czynione Pani przez otoczenie są zupełnie uzasadnione. Pozwalać jedynastoletniemu chłopcu na wszystko, czego się napiera, jedynie w myśl hasła: „niech pamięta kiedyś, że miał dobrą matkę" — doprowadzi do wręcz odmiennego rezultatu. Zamiast wdzięczności, żal mieć będzie kiedyś do matki, która nie umiała go poprowadzić rozumnie i pouczyć co złe, a co dobre. Trzydziestokilkuletnia kobieta jest już chyba — a przynajmniej powinna być — dojrzałym człowiekiem, który zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności macierzyństwa. Fakt, że chłopca nikt nie lubi, prócz rodziców, jest dostatecznym dowodem jego nieznośnych wad, które rozwinęły się pod wpływem zbytniej pobłażliwości. Nie trzeba mieć o to żalu do ludzi, ale do siebie samej i zdobyć się na autokrytycyzm. A przedewszystkiem zająć się lekturą pedagogiczną.

LÉGIONNAIRE BOLESLAS NEUBERG, 7353. de la 9-me Compagnie, 2-me Regiment Etranger, par Kenifra en opération, Maroc, Afryka — oto nowy adres legjonisty Polaka z Legji Cudzoziemskiej, który jak najgoręcej polecamy pamięci naszych uczynnych Czytelniczek. Człowiek ten, tragicznym zbiegiem okoliczności wciągnięty w beznadziejne piekło afrykańskiej legji, prosi o książki i pisma z Polski, do której nie może wrócić. Jest jednym z najnieszczęśliwszych naszych rodaków, dopomóżmy mu zatem przynajmniej w ten sposób.

(Książki i pisma prosimy wysyłać pocztą, a nie koleją).



1073

KASIA L. — Wymienione przez Panią rzeczy były podane w „Kursie trykotarstwa", prowadzonym stale w naszem czasopiśmie. Wszelkich objaśnień udzieli Pani Autorka Kursu, po otrzymaniu szczegółowych pytań.

TERESA N. — Owszem, preparaty amerykańskiej firmy „Hudnot" są niezaprzeczenie dobre i dostać je można u nas. Ale dlaczego nie wierzy Pani w dobroć kosmetyków polskich? Wyroby np. Pulsa można postawić narówni z zagranicznemi.

HALINA. — Opisany płaszcz popołudniowy można jeszcze przerobić. Granatowy kolor jest modny, a gdy Pani zmieni bronzowe futerko na popielato-srebrzysty astrachan, model nabierze dzisiejszej nuty. Miejsca zaś, na których znać byłoby przeróbkę, — czy to ze względu na szwy, czy też zmieniony odcień materjału, — można sprytnie ukryć pod aplikacją z tego samego materjału, albo z aksamitu dobranego dokładnie do koloru. Czasem wystarczy zastebnowanie tych miejsc grubym kordonkiem lub lacetem. Kształt aplikacji może być dowolny, zależnie od potrzeb; nie trzeba się krępować i niewolniczo trzymać form widzianych, przestrzegać tylko linij smukłych i dyskretnego rysunku.

CZYTELNIK CZASOPISMA ŻONY. — Kurjerek Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów — Warszawa, Wilcza 3, może otrzymać każdy, kto poda swój dokładny adres.

KAZIMIERZ EDSCHMID

LORD BYRON

ROMANS WIELKIEJ MIŁOŚCI

Już ukazała się na półkach księgarskich wydana nakładem

KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

WE LWOWIE

SENZACYJNA POWIEŚĆ BIOGRAFICZNA

LORD BYRON

ROMANS WIELKIEJ MIŁOŚCI

Autor tej znakomitej powieści, Kazimierz Edschmid, należy do czołowych pisarzy niemieckich ostatniej doby. Odznaczony wielką nagrodą państwową, tłómaczony na wszystkie bez wyjątku języki europejskie, cieszy się nadzwyczajną, zupełnie zresztą zrozumiałą poczytnością, dzięki mistrzowskiemu opanowaniu formy i przepysznej, głębokiej analizie psychologicznej kreślonych przez siebie postaci.

Do najlepszych jego dzieł należy bezsprzecznie biograficzna powieść o Byronie, którą dajemy obecnie polskiej publiczności w doskonałym, starannym przekładzie znanego literata i tłómacza, Kazimierza Rychłowskiego.

Wielka sylwetka Byrona, tego lorda-romantyka, nakreślona jest z przedziwną plastyką na tle jego epoki. Potężny, tragiczny konflikt wywołany miłością do przyrodniej siostry wielkiego poety, który nie waha się przed poniesieniem najwyższych ofiar, aby tylko uratować swą ukochaną, — to sceny, które wzruszają czytelnika do głębi duszy.

Niemniejsze zainteresowanie budzą dalsze koleje losu bohatera, jego podróż do Grecji i czynny, gorący udział i pomoc udzielana szlachetnym patrjotom greckim w walce o oswobodzenie swej ojczyzny.

Wszystkie te romantyczne przeżycia — jakkolwiek pokrywają się w pełni z rzeczywistością, — czyta się niby najsenzacyjniejszą powieść. Jest to naprawdę pierwsze epokowe dzieło o Byronie, kreślące sylwetkę przedewszystkiem żywego człowieka, człowieka wyjątkowego i niezwykłego.

Nie wątpimy też, że dzieło to spotka się i w Polsce z równie gorącem przyjęciem jak wszędzie indziej, a Edschmid zaliczać się będzie wkrótce do najpoczytniejszych u nas pisarzy.

Lord Byron Edschmida jest jedną z tych — niezbyt zaiste licznych — książek, które czyta się jednym tchem z niesłabnącem zainteresowaniem dla postaci bohatera i niezmiernie ożywionej — chwilami sensacyjnej — akcji, toczącej się w Anglji, Włoszech i Grecji. Zarówno niespokojny duch nowoczesnego czytelnika, pożądającego nieustannych bodźców dla zainteresowania, jak intelekt szukający trwałych w lekturze wartości, znajdują w tej książce jednakie zadowolenie. Książkę tę przeczyta się pierwszy raz jednym tchem, a potem wróci się do niej jeszcze nieraz.

Cena zł 12·—. w wykwintnej oprawie 16.—

Jeśli nie znacie kraju

gdzie w fioletowym cieniu fjordów migocą srebrnołuskie sardynki, poznajcie przynajmniej jego świetne przysmaki t. z. sardynki norwegskie, przepyszne w smaku, przytem pożywne i tanie, gdyż bezmierne jest bogactwo rybne wód norwegskich. Przyprawione w najlepszej oliwie lub sosie pomidorowym zaspokajają najwybredniejsze wymagania smakosza. Nadzwyczajnie pożywne wskutek wielkiej zawartości jodu.

1080



Do nabycia we wszystkich wykwintnych handlach delikatesów, pokojach do śniadań i składach towarów kolonjalnych.

De Norske Hermetikkfabrikkers Landsforening, Stavanger

Miljony dziennie używają

Chlorodont

Pastę do zębów
Wodę do ust
Szczotki do zębów

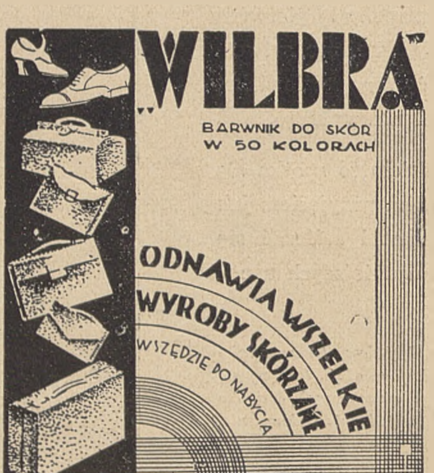


Dr A. SOŁTYSIK

chirurg - ortopeda

diatermia, lampa kwarcowa i i.

pl. Marjacki 9 7166 tel. 9-83



1097

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

1029

WYROBY KOSMETYCZNE

SŁYNNEJ FIRMY

ELIZABETH ARDEN

1098

POLECA WYŁĄCZNY SKŁAD

A LA VILLE DE PARIS

GABRYEL STARK

LWÓW, PL. MARJACKI 11

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34